

NOL



Nieoficjalny
Obiekt
Literacki

MIESIĘCZNIK
BIULETYN INFORMACYJNY ŚKF



Witajcie w NOL-u. Nieoficjalnym



Bartłomiej Urbański

**O ARTYSTACH
KOPIUJĄCYCH I KRADNĄCYCH**

4

Helena Strokowska

CIAŁO

12

Jesion Kowal

O NIECAŁE KILKA DNI

15

Katarzyna Kubacka

PERFECT DAY

27

Katarzyna Rupiewicz

**ZBRODNIA
W MAJĄTKU FORTEGENÓW**

33

Im bardziej przypatruję się rodzimemu skróтови NOL — Obiektowi Latającemu — tym bardziej zastanawia mnie jego natura. Anglojęzyczne UFO, standard w alienistyce, może wydawać się jakieś zgrabniejsze. Pierwowzór, wiadomo. Ale jest coś więcej: U, nagły zwrot w trajektorii, typowa zagrywka spodków. F, ledwo świst napędu, świst obcej nam technologii, która nie ryczy i nie grzmi z całym zacofaniem młota parowego, jakkolwiek klimatyczne to zacofanie by nie było. O, wiadomo: przedstawiać nie trzeba.

Jak z tak udaną nazwą ma konkurować rodzimy i lokalnie tylko rozpoznawany NOL? A jednak, im bardziej przyglądam się NOL-owi, tym bardziej widzę, że NOL jest może nawet bardziej lotny. O, szczęśliwie utrzymane, zajmuje pozycję centralną: spodek zbudowany jest przecież niejako wokół O. Zarówno N jak i L lepiej oddają zwroty trajektorii; to

Obiekcie Literackim.

[...]

właśnie owa zygzakowata nagłość tych zwrotów jest przecież tak obca — i tak Obca. Również łagodna dźwięczność N i L lepiej chyba oddaje to, co musi dziać się z napędem spodka: bezdźwięczność F to iluzja. NOL, w odróżnieniu od UFO, jest cały dźwięczny.

Odwracając proporcje oraz układ samogłosek i spółgłosek, NOL dokładnie odwraca formułę UFO. Odwraca nawet jego interpretację. I w tym jest jego siła. UFO to owo coś widziane z zewnątrz, oczami nie rozumiejącego obserwatora. NOL z kolei to UFO od środka. Czy nie tam właśnie chcemy zerknąć my, piszący i czytający fantastykę?

NOL jako Nieoficjalny Obiekt Literacki, do którego właśnie zagłędacie, składany od lat na nowo z tekstów ŚKF-owej sekcji, jest takim właśnie tworem. To Obiekt Obcy, lecz oglądany nie z odległości, ale z bliska, od środka. Obiekt złożony z tekstów-korytarzy, które kończą się tam, gdzie autor czy autorka uznali za stosowne dojść, lub gdzie dojść musieli. Obiekt, który zaprasza do zbadania. I obojętnie, czy znajdziemy tam wtargnięcie Kosmosu w nasze granice, czy — za Ballardem i Lemem — znajdziemy Obcego Siebie, tajemnica tych korytarzy nie rozwieje się do końca. To jedno Obcość może nam wszystkim gwarantować. I to w fantastyce jest być może najlepsze.

Jesion Kowal



O ARTYSTACH KOPIUJĄCYCH I KRADNĄCYCH

Steve Jobs zwykł mawiać „Dobrzy artyści kopiują, wybitni kradną” i zgodnie z tą maksymą wykorzystywał pomysły innych ludzi w swoich urządzeniach, na przykład sterowanie komputera myszą, podpatrzone podczas wizyty w laboratorium Xerox. Co innego, gdy chodzi o pomysły zastosowane w produktach Apple, bo wówczas armia prawników ma całkowicie inne zdanie niż założyciel firmy i potrafi pozwać konkurencję choćby o zaokrąglone rogi.

Ostatnio dużo mówi się o plagiatach, głównie za sprawą Wojciecha Sumlińskiego i artykułów w prasie porównujących fragmenty jego książki „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego” z fragmentami znanych kryminalów. Nie ulega wątpliwości, że są to zwykłe copypaste’y, ale już tyle zostało na ten temat napisane i do tego sprawa śmierdzi polityką, więc nie ma sensu się nad nią rozwodzić. Poza tym, że nie jest to jedyna taka afera w ostatnim czasie – za Wielką Wodą Amy Schumer, aktorka i komik, została oskarżona przez kilka innych artystek o kradzież dowcipów, a z każdym dniem ukazują się nowe informacje na temat podobieństw jej repertuaru do skeczy z kreskówek czy seriali komedycznych.

Potraktujmy całą sytuację jako punkt wyjściowy do dyskusji nad granicą plagiatu

w opowiadanych przez nas historiach. Poruszenie się po tej granicy może sprawiać nie lada problem, zwłaszcza gdy wokół tyle różnych określeń: inspiracja, hołd, zapożyczenie, ukłon w stronę wcześniejszego dzieła, fanfik, naruszenie praw autorskich, plagiat itd.

MIĘDZY FAKTEM A FIKCJĄ

W 2006 roku Michael Baigent i Richard Leigh, autorzy książki „Święty Graal, święta krew” zarzucili Danowi Brownowi, że popełnił plagiat, bo kontrowersyjne tezy, zawarte w „Kodzie Leonarda da Vinci”, pochodziły w rzeczywistości z ich książki. Brown potwierdził, że korzystał z ich pracy, a nawet jednego z bohaterów nazwał

Leigh Teabing, co stanowi anagram nazwisk autorów. Sąd odrzucił roszczenia, uznając, że w książce Baigent i Leigh przedstawili teorie jako wyniki badań historycznych, a Brown wykorzystał je w fikcji. Można by się martwić, gdyby zapadł inny wyrok, bo przecież większość fikcji ma swoje źródło w faktach, ale szczególnie mogłoby się bać twórcy beletrystyki historycznej czy science fiction, którzy często sięgają do teorii i wyników

badań naukowych.

Między samymi faktami też bywa różnie. Jakiś czas temu pod wpisem na jednej z witryn popularnonaukowych rozpętała się burza komentarzy, gdzie użytkownicy oskarżali autora o plagiat doniesienia naukowego. Trzeba przyznać, że wpis był z rodzaju copypaste, ale większość popularnonaukowych artykułów teraz tak wygląda. Z pewnością byłoby lepiej, gdyby autor przyłożył się i napisał ciekawy, oryginalny artykuł, ale głównym zadaniem takich stron jest popularyzowanie, czyli bycie przekaźnikiem między naukowcami i społeczeństwem, a nie prowadzenie własnych badań naukowych.

”
*Dobrzy
artyści
kopiują,
wybitni
kradną*
”

INSPIRACJE, PLAGIATY CZY JESZCZE COŚ INNEGO

Każdy autor prędzej czy później spotka się z opinią, że jego twórczość przypomina coś innego. Czarodziej w szkole – pewnie „Harry Potter”. Naukowiec na konferencji – „Kongres futurologiczny”. Wcałe nietrudno natrafić na opinie, że Gandalf jest plagiatem Dumbledore’a.

Postmoderniści mówią, że wszystko już było, więc może nie ma granicy i każdy powinien robić, co chce. Z drugiej strony zaraz będziemy mieli wysyp autorów, którzy pod swoim nazwiskiem zaczną wydawać „Mistrza i Małgorzatę” czy „Władcę Pierścieni”.

Zapożyczenia istnieją w każdej dziedzinie sztuki i w różnym zakresie, od słynnego riffu gitarowego, przez początek piosenki, aż do całego utworu razem ze słowami. Wymieniać można bardzo długo np. w tańcu (Michael Jackson, w tym słynny *moonwalk*), w muzyce („Hello, I Love You” The Doors, co najmniej kilka piosenek Led Zeppelin itd.). Dalej skupię się głównie na literaturze, filmie i telewizji, jako że są to najpopularniejsze formy sztuki, które kładą nacisk na opowiadanie historii.

Zgodnie z przepisami naruszeniem praw autorskich jest wykorzystanie cudzego utworu przy jednoczesnym braku własnej twórczej działalności. Utwór nie musi być identyczny, wystarczy bardzo duży stopień podobieństwa np. pod względem związków frazeologicznych.

Dalej mamy utwór zależny, który nie może istnieć bez utworu pierwotnego. Zalicza się tutaj adaptacje, przeróbki czy tłumaczenia.

W utworach samodzielnych możemy natomiast korzystać z inspiracji np. faktów, tematów, pomysłów, a także metod ich opracowania. Chroniony jest za to sposób, w jaki dzieło zostało wyrażone, czyli konkretne zwroty, zdania czy całe fragmenty. Zgodnie z wyrokiem Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 15 września 1995 roku „Nie jest plagiatem dzieło, które powstaje w wyniku zupełnie

odrębnego, niezależnego procesu twórczego, nawet jeżeli posiada treść i formę bardzo zbliżoną do innego utworu. Możliwe są sytuacje, w których dwóch twórców, niezależnie od siebie, wykorzystuje w utworze ten sam pomysł i opracowuje go przy użyciu bardzo zbliżonych środków artystycznych, zwłaszcza jeżeli dzieła dotyczą tego samego tematu albo tematów bardzo zbliżonych.”

Plagiat nie jest określeniem prawnym i może, ale nie musi, oznaczać tego samego, co naruszenie praw autorskich. Plagiat występuje wtedy, gdy przypisujemy sobie np. pomysły czy argumenty, które nie należą do nas. Stąd osoba, która użyła swoich słów do przedstawienia tych pomysłów, czy nawet całych fragmentów, jest winna plagiatu, ale prawdopodobnie nie naruszyła praw autorskich, chyba że ilość fragmentów wpływa znacznie na nowy utwór. Drugi przypadek, gdzie można zauważyć rozróżnienie – gdy utwór przeszedł do domeny publicznej (np. „Na jagody” Konopnickiej) i nie jest już chroniony prawem autorskim, a ktoś przypisze sobie autorstwo zawartych tam treści.

Wszystko to jest o tyle ważne, że naruszenie praw autorskich podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat trzech (art. 115 ust. 1 Pr. aut.) i odpowiedzialności cywilnej – odszkodowania finansowe, publikacja przeprosin itp. W przypadku plagiatu, który nie jest jednocześnie naruszeniem praw autorskich, również możemy spodziewać się sankcji prawnych. Oczywiście nie należy zapominać o wizerunku i opinii publicznej, bo ona z pewnością tego nie zapomni (przynajmniej do kolejnego skandalu). Przekonali się o tym Barack Obama, Kaavya Viswanathan, Stephen Ambrose, Maureen Dowd, Jayson Blair, Doris Kearns Goodwin, Alex Haley i wielu innych.

„ŚMIECH TO ZDROWIE” I FANFIKI

Dlaczego fanfiki się tutaj znalazły? Fanfiki są historiami nieoficjalnymi, tworzonymi

przez wielbicieli twórczości danego autora. Wykorzystują oni świat przedstawiony w pierwowzorze, czy bohaterów, i dopisują wymyślone przez siebie wydarzenia. Status prawny tych utworów jest bardziej skomplikowany niż mogłoby się wydawać. Zazwyczaj można je rozpowszechniać jako teksty niekomercyjne i autorzy nie mają z tym większego problemu. Jednak zgodnie z prawem polskim większość fanfików balansuje na granicy między utworem zależnym a inspirowanym i każdy przypadek takiej twórczości trzeba rozpatrywać osobno. Liczy się tutaj przede wszystkim wkład twórczy autora fanfika, czyli elementy indywidualne. Im mniej elementów własnych, a więcej przejętych z pierwowzoru, tym bardziej prawdopodobne będzie uznanie takiego utworu za zależny i wówczas należy uzyskać zgodę autora dzieła pierwotnego na rozporządzenie fanfikiem, nawet niekomercyjnie.

Wielkie korporacje, posiadające prawa do pierwowzorów, nieraz już próbowały w różny sposób wpływać na fanów, na przykład Lucasfilm próbował ograniczyć możliwość tworzenia fanfików tylko do kategorii wiekowej PG. Kiedy indziej ta sama firma chciała pozwolić wielbicielom „Gwiezdnym Wojen” na tworzenie swoich historii, ale tylko na serwerach Lucasfilmu i tylko pod warunkiem przekazania pełni praw na rzecz tej korporacji.

Nawet wśród samych autorów zdania są podzielone. Strony fanfikowe wspierają m.in. J.K. Rowling czy Stephanie Meyer. Zdecydowanymi przeciwnikami są choćby G.R.R. Martin, Raymond E. Feist czy Ann Rice.

Ewentualnie można poczekać aż autor umrze, a potem jeszcze tylko siedemdziesiąt lat, żeby wygasły prawa autorskie, a wówczas fanfik zostanie uznany za pełnoprawny utwór. W taki trend wpisuje się na przykład „Duma i uprzedzenie i zombie”, która do napisanej w 1813 roku powieści Jane Austen dodaje hordy nieumarłych. Nagrodę Pulitzera otrzymała powieść „March”, opowiadająca historię znaną z „Ma-

łych kobietek” Louisy M. Alcott, ale z punktu widzenia ojca sióstr March. Innym przykładem jest „Mona Lisa” Leonarda da Vinci, która znajduje się w domenie publicznej, ale przeróbka „Mona Lisa z wąsami” Marcela Duchampa nadal jest objęta ochroną prawa autorskiego.

Zdecydowanie popłaca podejście do fanfika w sposób kreatywny – trzeba zmienić to i owo, aby oddalić się od pierwowzoru, i załatwione. Najczęściej przytaczanym przykładem jest powieść „Pięćdziesiąt twarzy Greya”, która powstała jako fanfik do „Zmierchu”, ale podobnych przypadków jest dość sporo, również na polskim rynku.

Co ciekawe, całkowicie inaczej ma się sytuacja z parodiami, bo tutaj możemy skopiować praktycznie całe dzieło, dodać kilka żartów i wszystko jest w jak najlepszym porządku. W taki sposób na rynek trafiają ogromne ilości komedii, szydzących z najpopularniejszych filmowych hitów. Często są to po prostu humorystyczne fanfiki z takim samym światem, bohaterami i identyczną fabułą, a jedyna różnica polega na tym, że wyolbrzymiają i wyśmiewają pierwowzór. Na szczęście zdarzają się w tej kategorii również perełki w stylu „Czy leci z nami pilot?”, „Porąbani”, „Robin Hood: Faceci w rajtuzach” czy „One-Punch Man”, które przewracają do góry nogami cały gatunek pierwowzoru.

Lecz nawet wśród parodii zdarzają się kontrowersje, jak w przypadku książki „60 lat później: Idąc przez zboże” napisanej przez Fredrika Coltinga. W momencie publikacji była przedstawiana jako sequel do „Buszującego w zbożu”, a w obliczu pozwu sądowego została przemianowana na parodię. Mimo tego zakazano sprzedaży książki w Stanach Zjednoczonych, a w Wielkiej Brytanii wycofał się dystrybutor.

Mamy za sobą podstawy, więc najwyższy czas zerknąć, jak inspirować się, składają hołd lub kradną znani artyści.

POŻYCZKI – SZYBKO I BEZ FORMALNOŚCI

Jeśli spojrzymy na dziedziny sztuki związane z opowiadaniem historii, pożyczać można wszystko. I nie jest to kwestia naszych czasów, bo słynni artyści z przeszłości też tak robili np. Szekspir podczas pisania „Romea i Julii” wspomagał się w znacznym stopniu romantyczną historią napisaną przez Mattea Bandella. Wielu wręcz uważa, że dzieła Szekspira są jedynie przeróbkami innych utworów. Oczywiście wszystko można robić lepiej lub gorzej.

Najłatwiej pożyczyć tematykę czy pomysł, ale to nigdy nie jest objęte ochroną prawa autorskiego. Na poziomie pomysłu „Marsjanin” Andy’ego Weira jest właściwie MacGyverem w kosmosie. „Król lew” to w zasadzie „Hamlet”. Podobnie jest ze strukturami opowieści czy fabułami, których istnieje ponoć ograniczona liczba: trzy, pięć, siedem – w zależności od krytyków. Ile znamy opowieści z rodzaju „od zera do bohatera”?

Jeśli już o bohaterach mowa, to trudno nie zauważyć podobieństw między Zorro i Batmanem – obaj są bogatymi playboyami za dnia, a w nocy zakładają czarny strój z peleryną i walczą z przestępcami. To jest inspiracja, do której przyznają się sami twórcy. Do innych często pożyczanych bohaterów należą Dracula, Cthulhu, Tarzan, Sherlock Holmes nie tylko doczekał się wielu wiernych odwzorowań, ale był też bazą do powstania m.in. doktora House’a. Jedne postaci są przeniesione w całkowicie inne historie niż pierwotnie np. Pip z South Parku jest oparty na bohaterze „Wielkich nadziei” Dickensa, a inne w historii bardzo podobne – Harry Steele grany przez Charltona Hestona w „Tajemnicy Inków” jest w zasadzie Indianą Jonesem z „Poszukiwaczy Zaginionej Arki”, w bardzo podobnym stroju i rozwiązującym te same zagadki, tylko 27 lat wcześniej.

Mimo że J.D. Salinger wielokrotnie mówił, iż nie zgadza się na zekranizowanie „Buszu-

jącego w zbożu”, powstało co najmniej kilka filmów z podobnymi postaciami – na myśl przychodzi zwłaszcza „W pogoni za Amy”. Główny bohater powieści i filmu ma na imię Holden, a podobieństwa można odnaleźć również w cechach charakteru.

Warto pamiętać, że choć imiona postaci, nazwy krain czy ras nie są objęte ochroną prawa autorskiego, mogą być chronione jako znaki towarowe. Przekonali się o tym naukowcy, którzy odkryli szczątki *Homo floresiensis* i chcieli go nazwać „hobbitem”. Niestety, prawa wielkich korporacji często wygrywają ze zdrowym rozsądkiem.

ZAPOŻYCZENIA KONTRA UKŁONY

Inspiracja nie musi być oczywista, jeśli tego nie chcemy. Lecz jeżeli jeden artysta pragnie złożyć drugiemu hołd, to taki ukłon w stronę wcześniejszego dzieła powinien być widoczny. W końcu artysta celowo stara się wywołać skojarzenia z innym dziełem. Dobrym przykładem hołdu jest „Księga cmentarna” Gaimana, gdzie już po przeczytaniu tytułu wiemy, że autor odnosi się do „Księgi dżungli” Kiplinga. Na podstawie twórczości Neila Gaimana mógłbym właściwie napisać cały ten artykuł, bo ten pisarz jak mało który twórca potrafi zostawić nawiązania, czy cytaty, pokazać inspiracje i zrobić to z wdziękiem, ukłonem w stronę poprzedników i mrugnięciem oka do czytelnika. Z kolei w świecie filmu idealnym przykładem hołdów i zabawą inspiracjami jest „Scott Pilgrim kontra świat”, będący adaptacją kultowego komiksu, gdzie znajdziemy odniesienia do filmów, seriali, anime, książek, gier i innych komiksów – stanowczo za dużo, żeby wszystkie wymienić.

Sceny z bohaterem wiszącym na wskazówce zegarowej („Powrót do przyszłości”, „Hugo” czy „Projekt A” z Jackiem Chanem) są ukłonami w stronę Harolda Lloyd’a. A ile razy widzieliście scenę, w której cała ściana

budynku przewraca się na bohatera, a on wychodzi z tego cało, bo akurat stał tam, gdzie upadło okno? Scena z drabiną w „The Grand Budapest Hotel”? Scena z obracającym się holem hotelowym w „Incepcji” Nolana? Dwa słowa: Buster Keaton.

Jak czerpać inspiracje, a nie kraść, można zobaczyć w scenie „Cwału Walkirii” z „Czasu Apokalipsy”, która została zaczerpnięta z filmu „Narodziny narodu”. W obu scenach przy muzyce Wagnera kawaleria przybywa z pomocą, tylko w jednym wypadku są to helikoptery, a w drugim członkowie Ku Klux Klanu. Efekt został osiągnięty w podobny sposób, ale inspiracja została zmieniona na tyle, że nie można posądzić Coppoli o kradzież.

Bardzo rzadkie, a godne pochwały jest zachowanie Darrena Aronofsky’ego, który wykupił prawa do adaptacji „Perfect Blue” tylko dlatego, że chciał wykorzystać scenę w wannie, a inspiracje tym anime można zauważyć w jego „Czarnym łabędziu”.

CZY ILOŚĆ MA ZNACZENIE?

Muszę wspomnieć o Danie Simmonsie, bo w jego dziełach można spotkać tak dużo odniesień, że powstają specjalne opracowania. Czasami pisarz robi to w sposób bardzo subtelny, ale nie boi się również np. wprowadzać na karty powieści artystów albo wprost ustami bohaterów mówić, za co ceni danego poetę czy pisarza. Jednocześnie nikt nie może mieć wątpliwości, że utwory Simmonsa są oryginalne, mają własną fabułę, bohaterów, a inspiracje dodają smaku i pogłębiają treść.

„Incepcja” Christophera Nolana bardzo dużo inspiracji czerpie z „Papriki”, gdzie bohaterowie również włamują się do umysłów, wykorzystując nowoczesną technologię, choć tam jest to częścią terapii dla pacjentów. Ciekawostką jest, że wcześniej pracowano nad filmową adaptacją „Papriki”, ale po wypuszczeniu „Incepcji” do kin, prace zostały przerwane.

W przytaczanym wcześniej „Królu lwie” można dostrzec podobieństwa do anime „Kimba Białe Lew”, w tym całe sceny. Sytuacja jest wręcz śmieszna, bo aktor podkładający głos pod Simbę, myślał, że bierze udział w remake’u i gra Kimbę. Właściciele praw do „Kimby” planowali wystąpić z pozwem, ale z góry stwierdzono, że nie sposób sądzić się z takim gigantem jak Disney.

Jeśli już mowa o remake’ach, to chwalebny przykładem jest film „Siedmiu wspaniałych”, który jest amerykańską wersją „Siedmiu samurajów” Kurosawy. Scenariusz został oparty na fabule poprzednika, ale świat w obu filmach jest inny, broń jest inna, bo bohaterowie są rewolwerowcami, a nie samurajami, i jeszcze kilka różnic by się znalazło, co prawdopodobnie pozwoliłoby obronić film przed sądem. Jednak twórcy „Siedmiu wspaniałych” postąpili honorowo i wykupili prawa do remake’u. Nie można tego powiedzieć o twórcach „Dawno temu w trawie”. W „Bitwie poza gwiazdami” przynajmniej planeta została nazwana Akir na cześć Kurosawy.

Przy okazji takiej dyskusji pewnie by mi się oberwało, gdybym zapomniał o reżyserze, który słynie z zapożyczeń w swoich filmach – Quentin Tarantino. Jest taki film, opowiadający historię złodziei, którym nie wyszedł napad. Uciekając przed policją, mają wypadek. Później ukrywają się w starym magazynie. Na domiar złego w ich szeregach jest policjant, próbują więc ustalić, który zdradził. Pewnie myślicie, że chodzi mi o „Wściekłe psy”, ale prawda jest taka, że właśnie opisałem fabułę „Płonącego miasta” reżysera Ringo Lama. Inne punkty fabuły, rozwój postaci i sceny też są zbieżne, ale szczytem jest końcówka, która w obu filmach jest identyczna, nawet dialogi, z których przecież słynie Tarantino, są takie same.

Co ciekawe, Tarantino bardzo chętnie mówił o swoich zapożyczeniach, a przy okazji „Wściekłych psów” często wspominał o „Za-

bójstwie” Kubricka, ale nigdy w tym kontekście nawet nie zająknął się o filmie Ringo Lama. Lubię filmy Tarantino i widzę inspiracje, które wykorzystuje w ciekawy sposób, mogę mu nawet wybaczyć „cytowanie” Księgi Ezechiela, które w rzeczywistości jest żywcem wzięte z filmu „Karate Kiba”, ale przy zestawieniu „Płonącego Miasta” i „Wściekłych psów” ciężko nie uznać tego drugiego za lepszy jakościowo, ale jednak remake, zwłaszcza jeśli ma się w pamięci, jak postąpili twórcy „Siedmiu wspaniałych”. Ale z drugiej strony, czego można wymagać od Tarantino? Przecież sam powiedział, że „artyści kradną, a nie oddają hołdy”.

INSPIRACJE INSPIRUJĄCYCH BLOCKBUSTERÓW

George Lucas przy tworzeniu „Gwiezdných Wojen” korzystał z różnych zapożyczeń m.in. z filmu „Flash Gordon”, klasycznych westernów („Pewnego razu na dzikim zachodzie”, „Dobry, zły i brzydki”, „Poszukiwacze”) czy filmów o II wojnie światowej („Działa Nawarony”, „Nocny nalot”), a w szczególności filmów Kurosawy, i większość jest właśnie tym – inspiracjami, do tego z różnych źródeł, ale występują w „Gwiezdných Wojnach” również niezbyt chlubne zapożyczenia z „Ukrytej fortecy” np. niezwykle podobne początkowe sceny. Nawet sposób edycji i przejścia między scenami są takie same.

Skoro było o oryginalnej trylogii GW, to zerknijmy na najnowszą część. Dużo osób narzeka, że „Gwiezdne Wojny: Przebudzenie Mocy” za bardzo przypominają poprzednie epizody sagi. Reżyser tłumaczył się w różnych wywiadach, że musiał podejść do materiału zachowawczo i zacerpnąć elementy z oryginalnej trylogii. Jest to po części zrozumiałe, bo zadanie, które przed nim stało, nie było łatwe – na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za nowy etap w świecie Gwiezdných Wojen. Pod kątem powielania

nie można brać pod uwagę świata i jego elementów, bo jest to część uroku operowania w danym uniwersum, ale fabuła czy nowi bohaterowie, to już całkiem inna historia, a w tych elementach widać wiele zapożyczeń z wcześniejszych części.

Główna bohaterka znowu jest na pustynnej planecie i ponownie z nadzieją spogląda w niebo. Poza tym znowu świetnie radzi sobie z maszynami i jest super pilotem. I oczywiście film zaczyna się, gdy na owej pustynnej planecie bohater spotyka droida. Znowu mamy błyskotliwego pilota, najlepszego w całej galaktyce. Cała sytuacja wygląda tak, jakby poprzednich części w ogóle nie było, zmieniono tylko nazwy. Rebelianci są teraz Ruchem Oporu, Imperium jest Pierwszym Porządkiem. Znowu mamy ubranego na czarno złego w hełmie i brzydkiego większego złego, który pokazuje się na hologramie. Leia i Han Solo zajmują się praktycznie tym samym, czym zajmowali się na początku oryginalnej trylogii. Znowu jest Gwiazda Śmierci (tylko większa) i trzeba zrobić praktycznie to samo, co wcześniej, żeby ją zniszczyć. Wymieniać mógłby jeszcze długo.

Efektu dopełniają momenty, kiedy twórcy puszczają oczko do widza, czy wręcz szturchają łokciem „Zobacz!”, „Ale jesteś pewny, że zauważyłeś to odwołanie?”, „Na sto procent?”, „Na wszelki wypadek jeszcze raz ci pokażę”. Taka sytuacja może odbiorcę przytłaczać tym bardziej, że praktycznie wszystkie nawiązania, inspiracje i odniesienia prowadzą w jedno miejsce – do oryginalnej trylogii. Według mnie wszystkim wyszłoby na dobre, gdyby zmniejszono ilość nawiązań i podobieństw, a pozostałe były subtelniejsze. Można się spierać, czy „Przebudzenie mocy” to zwykła kalka. Albo można odpowiedzieć sobie na proste pytanie: czy Disney wystosowałby pozew o naruszenie praw autorskich, gdyby ktoś inny wyprodukował „Przebudzenie mocy”, tylko ze zmienionym uniwersum?

O swoich inspiracjach przy tworzeniu „Matrixa” otwarcie mówią Wachowscy i w samym filmie również dobrze je widać. Ważne były dla Wachowskich historie science fiction, filmy kung-fu, ale chyba największy wpływ miał „Ghost in the Shell”. Widać to zwłaszcza w stylu, scenach i akcji.

Nie bez powodu wspominałem o „Matrixie”, bo trudno powiedzieć, na ile rzeczywiście te inspiracje działały na reżyserski duet. Wiele elementów filmu jest zadziwiająco podobnych do komiksu „The Invisibles” Granta Morrisona. Tam też mamy ubranych w skóry terrorystów, którzy walczą z facetami ubranymi w czarne garnitury, używając niezwykłych mocy i wschodnich sztuk walki. Tam też rzeczywistość, w której żyjemy, jest tylko iluzją, służącą do zniewolenia ludzkości. Różnica polega tylko na tym, że zamiast robotów mamy insektoidalne demony. Aha, jednym z głównych bohaterów jest łysy mężczyzna w okularach, które bardzo przypominają okulary Morfeusza. Patrząc na ten przypadek można zacząć wierzyć w karmę, bo dwie kolejne części „Matrixa” nie były już inspirowane komiksem Morrisona.

WIZERUNEK PRZEDE WSZYSTKIM

Zabawa odniesieniami jest fajna – zarówno dla twórcy, jak i odbiorcy. Jako czytelnik czy widz, cieszę się, gdy widzę, że ktoś docenił wcześniejsze dokonania i postanowił wpleść te inspiracje do swojego dzieła. Taka zabawa pozwala również na większą interakcję między autorem a odbiorcą, bo dostrzeganie inspiracji jest niesamowicie wciągające. Dlatego myślę, że nie tyle ilość wszystkich odniesień ma znaczenie, ale raczej ilość zapożyczeń pochodzących z jednego źródła. W tym właśnie siedzi różnica w postrzeganiu np. Briana De Palmy, który przede wszystkim czerpał z Hitchcocka, aż wreszcie został uznany za imitatora, a Neila Gaimana czy Dana

Simmonsa, którzy starają się o różnorodność inspiracji. Do tego równania trzeba też wrzucić Tarantino, bo jego sukces jest niepodważalny, a sądzę, że poza mnogością, ważna jest również u niego niszowość źródeł, z których reżyser może czerpać więcej niż z popularnych filmów, bo nie są znane przeciętnemu widzowi.

Ile przez ostatnie kilka lat wydano książek podobnych do „Igrzysk śmierci”? Znowu akcja rozgrywa się w dystopijnym świecie, gdzie społeczeństwo jest dzielone na dystrykty czy frakcje. Znowu dorośli przeprowadzają eksperymenty albo każą dzieciom się zabijać. Znowu jest romans, najlepiej trójkąt. I tak dalej. Nie są to plagiaty, ale historie oparte o te same motywy, ułożone w identyczne schematy, po pewnym czasie najzwyczajniej nudzą. Same „Igrzyska śmierci” też nie są do końca oryginalne – wystarczy obejrzeć japoński film „Battle Royale” – ale w książce Collins innych elementów i poruszanych tematów jest na tyle dużo, że tak bardzo się tego nie odczuwa. No i były pierwsze z tych popularnych.

Przytoczone tutaj przykłady lepszego lub gorszego wykorzystania inspiracji czy wręcz kradzieży są jedynie wierzchołkiem góry utworów, które można pod tym kątem omówić. Właściwie na tym mógłbym zakończyć, bo przecież w dzisiejszym świecie najważniejsze jest, jak widzą nas inni, czyli wszystko będzie w porządku, o ile zatrudnicie dobrych prawników i specjalistów od marketingu. Ale gdyby jakiś autor zastanawiał się nad swoim dziełem, to prawda jest taka, że twórca wie, jeśli popełnia plagiat, bo to musi być działanie świadome. Natomiast jeśli czerpie inspiracje, to również wie, ile w tym jest wkładu własnego, choć nie wykluczam, że przynajmniej część inspiracji jest nieświadomych.

KOGO OKRADEŁ STEVE JOBS?

Wróćmy do maksymy „Dobrzy artyści kopiują, wybitni kradną”, której autorem nie był

Steve Jobs. Według niego mądrość wyszła z ust Pabla Picassa. Malarz prawdopodobnie posłużył się tymi słowami, ale nie jako pierwszy. Według „śledztwa” przeprowadzonego przez quoteinvestigator.com różne warianty sentencji (artystów zastępowano poetami czy kompozytorami, a kopiowanie imitowaniem) wypowiadali Igor Stravinsky, William Faulkner i T.S. Eliot, ale ostatecznego źródła nie udało się ustalić.

Możemy postępować tak jak Steve Jobs – stosować cypypaste i co jakiś czas wypuszczać ten sam produkt, tylko w trochę innym opakowaniu i z trochę innym złączem ładowarki. Właśnie dlatego mamy później wysyp klonów „Władcy Pierścieni”, „Harry’ego Pottera”, „Igrzysk śmierci” czy „Pięćdziesięciu twarzy Greya”, które przypominają drepnięcie w miejscu.

Warto jednak wspomnieć, że znaleziono również artykuł „Imitators and Plagiarists” opublikowany w „The Gentleman’s Magazine”, w którym autor W.H. Davenport Adams zacytował całkiem odwrotną zasadę dobrego zachowania: „Wielcy poeci imitują i doskonałą, podczas gdy mali kradną i psują”. Ta reguła sprawia wrażenie jakby bardziej sensownej. Po pierwsze mamy czyste sumienie, bo „Nie kradnij” to hasło, które wykształciło się wśród różnych cywilizacji i przetrwało tysiące lat. Po drugie jak będziemy się czuli, jeśli to nas ktoś okradnie? Po trzecie możemy podpatrywać i brać za wzór, a przy okazji rozwijać i podnosić poziom sztuki, co wszystkim powinno

wyjscie na dobre. Może w przyszłości ktoś inny weźmie nasze twory za przykład i do nich dołoży swoją cegiełkę. I tak w nieskończoność.

Potraktujmy sztukę jak konwersację. Obracamy się w kręgu kultury i nie unikniemy wpływu wcześniejszych wypowiedzi. W ciekawy sposób zostało to pokazane w „South Parku”, gdzie cały odcinek „Simpsonowie już to zrobili” został poświęcony różnym pomysłom, które zostały wcześniej zrealizowane. I trudno się dziwić, bo „Simpsonowie” są na antenie od 1989 roku. Jeśli nie będziemy mogli czerpać z nich inspiracji, to będziemy dreptać w miejscu. Jeśli będziemy tworzyli plagiaty, to też nie ruszymy się nawet o krok. Czy nie jest irytujące, gdy podczas jakiejś dyskusji ktoś nie potrafi sam czegoś powiedzieć, tylko sięga po myśli innych? Ale jeśli potraktujemy wcześniejsze wypowiedzi jak narzędzia i podstawę, to zdołamy pchnąć dyskusję dalej i przyczynimy się do jej rozwoju.

Jednocześnie trzeba też pamiętać o swoim własnym „głosie” w utworach, bo jeśli wszystko będzie tylko zlepkiem inspiracji, ukłonów i odniesień, to ryzykujemy utracenie „siebie” – tego pierwiastka indywidualności, który często wyróżnia jedno dzieło spośród innych.

Na pytanie, jak postępować z inspiracjami, każdy sam musi sobie odpowiedzieć. Lecz jeśli przyjąć, że słuszna jest złota myśl Steve’a Jobsa, że „Dobrzy artyści kopiują, a wybitni kradną”, to czyż nie jest to słodka ironia, że prawdziwy autor został z tej maksyminy okradziony i do tego zapomniany przez historię?

P.S. Jeśli komuś nastąpiłem na odcisk np. niepochlebnie pisząc o ulubionym twórcy, to chcę tylko zaznaczyć, że artykuł był w całości inspirowany, pełen odniesień oraz zapożyczeń, i nie biorę odpowiedzialności za jego treść. ;)

Ciało

1

To ciało nie podobało mi się. Było stare, obolałe i sztywne, oglądałem je z pewnym zacieka-
wieniem: co za zabawny pomysł, żeby nakładać na siebie połączone fragmenty jakichś plecio-
nek. Sięgnąłem do pamięci ciała – to było ciało samicy! Na szczęście było stare – jedyny plus,
nie groziły mi tak zwane miesiączki, no i jeszcze cięższe, samice bywają w ciąży! Estetycznie
nie odpowiadało mi całkowicie, obejrzałem je po odpakowaniu plecionek – było łyse, pokryte
niebieskawymi żyłkami, plamkami, obwisłe, i brzydko pachniało. Na brzydki zapach trochę
pomogła krótka wizyta w pomieszczeniu ze ścianami z białej glazury, w pamięci ciała zna-
lazłem sposób obsługi zainstalowanych tam urządzeń i jego samego. Całkiem zmyślne rozwią-
zania. Owszem, wygodne, ciało zostało wymyte w cieplej wodzie, użyłem nawet płynów, które
miały poprawić woń. Wybrałem płyn oznaczony pyszczkiem, te pozostałe cuchnęły okropnie.
Po wyjściu z pomieszczenia ciało dygotało z zimna, więc ubrałem je w wiszące na przeciwnej
ścianie futerko. Gdy połączyłem ze sobą poły futerka, przeciskając guziki przez dziurki, zrobi-
ło mi się ciepłej i dygotanie ustało. Potem skusił mnie zapach dochodzący ze stojącej na pod-
łodze miseczki, schyliłem się z wielkim trudem i zjadłem zawartość. Było lepiej, dużo lepiej
– ale pomimo to nie chcę tego ciała! Nie chcę, bo jest brzydkie, obolałe i w dodatku samicze!

Podszedłem do okna i popatrzyłem na zewnątrz. Okno otwierało się na kamienny wąwóz
z rzędami okien po przeciwnej stronie. Na dole, po dnie wąwozu, środkiem bardzo szybko pę-
dziły wielkie, kolorowe pudła, a na niewysokich, wąskich półeczkach spacerowały ciała. Wiele
ciał. Wszystkie brzydkie, niezdarne, opakowane w kolorowe plecionki. Te pudła na środku
były ładniejsze od ciał. Czy mógłbym się przenieść do takiego kolorowego pudła?

Tyle ciał, które wybrać? I jakiego rodzaju?

Nie, nie kobiece, męskie lepsze, bo większe. Może pokryte futrem? Ulicą od czasu do czasu
przechodziła para składająca się z ciała łysego i futrzastego połączonych linką, niektóre futrza-
ste były duże i wtedy wyraźnie dominowały. To byłoby niezłe. Lubię dominować.

Podstawowa sprawa – znaleźć ciało, sprowadzić je najlepiej do tej nory, no i je zająć. Nie
wiem dobrze, jak wygląda procedura zajmowania, ale jakoś do tego dojdę, już przecież raz to
zrobiłem.

Trudno mi będzie spowodować, żeby jakieś ciało z ulicy (wąwóz nazywa się ulica, ma na-
wet nazwę własną) znalazło się w norze i czekało odpowiednio długo, aż domyślę się, w jaki
sposób, i je zajmę.

Pomieszczenie z jedzeniem też ma okno, może popatrzę przez nie?

Za oknem (kuchennym, to pomieszczenie to „kuchnia”) również były ściany z oknami – ale
z trzech stron, nie z jednej.



Na dnie znajdował się prostokąt z czymś żółtawym i kilka kolorowych pudeł podobnych do tych, które pędziły po środku ulicy. Tu stały nieruchomo, jakby były rzeczami, albo czały się na coś. Stało tam także kilka pojemników w różnych kolorach. Koło prostokąta – „piaskownicy” – stała „ławeczka” a na niej ktoś siedział.

Oczy ciała były słabe, ale na podstawie jego pamięci wywnioskowałem, że to prawdopodobnie Tomek, siedemnastoletni, niesprawny na umyśle syn sąsiadów z pierwszego piętra. Jego ciało byłoby nienajgorszym nabytkiem, młode, duże i silne, chociaż bycie w takim wspaniałym kolorowym pudle podobałoby mi się o wiele bardziej.

Tak więc mamy plan „a” – poznać kolorowe pudło i jeżeli to możliwe, zająć je.

I mamy plan „b” – ściągnąć ciało Tomka do mojej nory, obezwładnić je i zająć.

Do wykonania obu planów muszę zejść na dół na podwórkę. Do planu „b” muszę przygotować jakiś zatruty smakołyk.

Plan „b” nie wyklucza realizacji planu „a” w późniejszym okresie.

Przygotowanie napoju z lekarstw, cukru i palącego wiśniowego płynu zajęło mi kilka chwil, gorzej było z zejściem na podwórkę. To ciało rzeczywiście nie nadawało się do niczego.

Dotarłem do najbliższego pudła, lśniącego, o pięknym czerwonym kolorze – już chciałem dotknąć jednej z niewielkich dzwigiemek, kiedy za moimi plecami odezwał się głos:

– Pani sąsiadko, niech pani go nie rusza, bo będzie alarm i będą na mnie krzyżeć! – ostrzegł mnie Tomek.

– Witaj, Tomeczku, może byś tak pomógł starej kobiecie? – rzuciłem przygotowany wcześniej tekst. – Potrzebuję pomocy, może byś poszedł do... – tu się zaciąłem, szukając odpowiedniego słownictwa – do mojego mieszkania – skończyłem z sukcesem.

– Mama kazała mi czekać na podwórku – odparł Tomek smutno. – Będzie krzyżeć, jak mnie nie zobaczy.

– Ale to tylko na chwilkę, bardzo potrzebuję pomocy. Dam ci coś smacznego, jak mi pomożesz – kusilem. – Na pewno chce ci się pić. I w razie czego wszystko wytłumaczę twojej mamie.

– Dobrze – zgodził się Tomek po dłuższym deliberowaniu. Ruszał przy tym ustami.

Wejście na górę odbyło się w miarę szybko tylko dzięki pomocy Tomka. Poprosiłem go do środka i wręczyłem przygotowany dekokt. Tomek wypił go duszkiem.

– Dziwnie smakuje – powiedział.

– Tak, bo to specjalne lekarstwo dla ciebie – wytłumaczyłem. – Jak wypiełeś, to ci pomoże, musisz tylko usiąść na podłodze i posiedzieć trochę. No siadaj!

Chłopak klapnął na pupę pośrodku kuchni, patrząc na mnie oglupiałym wzrokiem. I dobrze, nie chciałem mieć potłuczonego ciała.

– Teraz zamknij oczy i czekaj!

Posłusznie zamknął oczy, po chwili zachrapał i zasnął oparty ścianę. Dla pewności skrepiłem mu nogi i ręce linką znaną w jednym z otworów drewnianego pudła w kuchni.

Jego ciało było brzydkie, tłuste i łyse, z niewielkim plackiem sierści na głowie. Ale męskie i zdrowe. Zdyszałem się, oglądając je i ściągając z niego część plecionek. Jak przejść? Jak je zająć? Jak opuścić to obrzydliwe stare ciało i wejść do nowego, młodego – też obrzydliwego swoją drogą.

Wreszcie domyśliłem się, zrobiłem pętlę z reszty linki, nałożyłem ją na szyję, przywiązałem drugi koniec do klamki i...

Express wieczorny

Dziwne samobójstwo

Przez dwa dni poszukiwano w całym mieście siedemnastoletniego, niepełnosprawnego umysłowo Tomasza N. – bezskutecznie.

Dziwne odgłosy z mieszkania na trzecim piętrze kamienicy spowodowały, że postanawiano sprawdzić, co się dzieje z zamieszkującą je staruszką.

Po otwarciu drzwi stwierdzono, że właścicielka mieszkania zginęła śmiercią samobójczą, uprzednio krępując zaproszonego podstępem Tomka.

Tomek, uwolniony, napojony i nakarmiony, miał się na tyle dobrze, że został oddany z powrotem pod opiekę matki. Po badaniach psychologicznych stwierdzono, że tragedia nie spowodowała negatywnych konsekwencji u chłopca, wręcz nastąpiło u niego przebudzenie intelektualne, a także nieobserwowane wcześniej zafascynowanie motoryzacją.

Podczas przeszukiwania mieszkania denatki znaleziono w zamrażalniku ciało jej starego kota. Czy przyczyną porwania i samobójstwa była rozpacz po śmierci ukochanego pupila?

O niecałe kilka dni

2

Klecki zadzwonił tam we wtorek, tak mu się przynajmniej wydawało. Po prostu podniósł słuchawkę i, zupełnie jak gdyby miał zadzwonić do zegarynki, wykręcił sobie numer. Niesamowite. A przy tym wcale skomplikowane: numer składał się z dziesięciu cyfr, które należało wybierać kolejno. Klecki, nie bez pewnej dozy wysiłku, cały czas starał się o tym pamiętać. I tak właśnie zrobił: od lewej do prawej.

Zero było pierwsze. Ostatnie było trzy. Nigdy nie przypuszczał, że jest między nimi aż tyle miejsca.

Owe dziesięć cyfr czekało na niego już od lat; Klecki przeczuwał, że w końcu będzie ich musiał poszukać, ale ignorował to poczucie tak długo, jak się dało. W międzyczasie, z boczku, w cieniu, obserwował, jak jego niezdarne próby porozumienia ze znajomymi kończą się fiaskiem. Otwierał usta, a wypływała z nich jedynie piękna, gęsta cisza. Być może próbował za mało, być może próbował źle. W każdym razie, okres cierpliwości się skończył i Klecki stwierdził, że być może mówienie pójdzie mu sprawniej, jeśli będzie musiał za czas słuchacza płacić.

To dlatego właśnie, zupełnie beczeregielnie, kilka dni temu zapytał swoją znajomą, czy nie ma przypadkiem numeru telefonu do jakiegoś dobrego specjalisty. Miała. Klecki był zaskoczony; też coś. Żadnego zachodu, specjalnych starań, nic. Poprosił, od niechcenia, i zostało mu przydzielone, również od niechcenia. A gdy już go miał, pozostawało tylko zadzwonić, również od niechcenia. I tyle. Prawie gotowe. Mrożonka.

No to zadzwonił. Z samego rana.

Uuuuuuuu, straszło go w słuchawce.

Oczywiście, w świecie Kleckiego rzeczy nie działy się ot tak, po prostu, więc samo podniesienie słuchawki odbyło się dopiero po gruntownej próbie wystukania numeru na sucho, po próbie głosu w świeżo odchrząkniętym gardle, po próbie wyimprowizowanej dopiero za trzecim razem formuły słownej. To formuła była najważniejsza. Sęk w tym, żeby się nie zająknąć: każde zakłęcie – nawet tak proste, jak to – zawsze mogło się nie udać. Potem już można było winić cokolwiek, co tylko przyszło człowiekowi do łba; wynik ujemny pozostawał ujemny. Klecki nie dość, że o tym wiedział, to jeszcze wciąż dowiadywał się od nowa. W ów wtorek przećwiczył więc formułę kilkakrotnie, starając się nadać głosowi odpowiednią intonację i tempo. Żeby tylko nie stracić wątku i od razu nie wyjść na idiotę, myślał. Formuła: bilet na ten nowy, wspaniały, wrzaskliwy świt. Bła-bła-kagabla, sezamie, otwórz mnie. Dzień Dobry, z o.o. Kucał przed aparatem dobre pięć minut.

Uuuuuuuu.

Udało się. Był umówiony.

Tuż po rozmowie, jeszcze mocno spięty, wlaź do łazienki. Dla odprężenia starał się zastanawiać, czy to naprawdę wtorek. Jego zdrętwiała noga, pełno szpilek. Odkręcił kurek, automatycznie ściągnął z siebie piżamę w paski. Więzień snu; odbębnić swoje, rytmicznie co dnia. Wtorek? Mydło w dłoń. Tak, wszystko na to wskazywało; wczoraj był poniedziałek, a przedwczoraj niedziela, jego niegdyś najbardziej zniechęcony dzień tygodnia. Dobrze było móc odetchnąć po

krótkiej, treściwej rozmowie z panią Doktor. Zawsze była jakaś kwestia do rozstrzygnięcia; dziś akurat był to Problem Wtorku.

Stał więc i rozmyślał. Dużymi, mokrymi literami.

Środa, jak każdy inny dzień, zaczęła się dla Kleckiego dobrze po dziesiątej, po resztkę wyblakłej nocy i poranku pełnym niezdecydowanych snów. Brzęczały w nim, objijając się od środka o jego wciąż kurczącą się czaszkę. Polatywały w jego kurczących się płucach, wędrowały wzdłuż skracających się kości.

Klecki bowiem już od dawna cały się kurczył.

Odbywało się to, rzecz jasna, w bardzo wolnym tempie. Pierwsze objawy Klecki zauważył – poczuł – dobre kilkanaście lat wstecz. Od razu uznał, że nie ma na to wpływu, czekał więc spokojnie na rozwój wypadków. A był mistrzem czekania. Miesiące i lata powoli mijały, a on w bardzo powolnym tempie kurczył się nadal. Mogło być gorzej, myślał.

Mógł przecież rosnąć.

Jakiś czas temu poczuł, że kielkuje w nim pewna wielce nieprzyjemna myśl. Z początku usiłował nie zwracać na nią uwagi, lecz jej szybko wzrastający pęd coraz natarczywiej pukał i napierał na jego świadomość, domagając się potrzebnej mu przestrzeni. Klecki od razu postanowił zignorować to pukanie; zwykła reakcja kogoś, kto udaje, że go nie ma. Ignorował je więc, dokładnie tak jak nocą człowiek stara się ignorować odgłos kąpiącej wody. Pęd zaś nie ustawał w swoich wysiłkach i pewnego dnia wdarł się przemocą do środka.

Kilkanaście dni: tyle wart był pasywny protest Kleckiego. Równie dobrze mógł przykuć się do kaloryfera.

Pęd wkrótce zakwitł, z radosną furią zwycięzcy zachłystując się każdym kawałkiem wolnego miejsca. Klecki czuł, jak łodyga szybko przekształca się w mocny, coraz mocniejszy, pień; ciemny i oślizgły. Podłużne i półokrągłe żłobienia na jego korze, oplecionym wokół kręgosłupa, przy odpowiednim, zwłaszcza wieczornym, oświetleniu tworzyły sekwencję liter. Często widywał je we śnie.

Dawno powinno cię już nie być. Tak głosił ów napis.

Poczucie, że po tych wszystkich latach nieustannego kurczenia się ani trochę nie zmalął – ani trochę nie zniknął – wreszcie go dopadło i Klecki po raz pierwszy zaczął rozważać możliwość, że coś poszło źle. Jakaś awaria. Miał wrażenie, że coś jedynie wytwarzało w nim uczucie kurczenia, podczas gdy sam proces dawno już ustał. Dawno, niedawno; cóż to zresztą za różnica. Ważne, że nie tak, jak powinno. Jego własna awaria. Coś jest nie tak, jak powinno być. Moja mantra, pomyślał, prychnając. Nie tak, jak powinno.

Gdy skończył myć naczynia, raz jeszcze zaczerpnął w obie dłonie wody z kranu i zanurzył w niej twarz.

Zakręcił kran. Stał na środku kuchni, a woda spływała mu po twarzy i włosach. Miał wrażenie, że spływa ona po nim również od wewnątrz. Nasłuchiwał trzepotu liści, radośnie niecierpliwych w oczekiwaniu na chwilę, kiedy i on za ich sprawą zmieni się w roślinę i pozwoli im – pozwoli sobie – po prostu być.

– Ćwir – powiedział Klecki do gołębia, który pracowicie zdreptywał mu z drogi. Nie odpowiedział, przejęty swoją nieporadną ucieczką.

Był czwartek, tysiąc sześćset n-ty czwartek w jego życiu; coś koło tego. Klecki miał słabość do wartości niedokładnych; lubił przestrzeń zarezerwowaną na błąd i domysł. Pofalowany symbol \approx , matematyczne *około*, był mu dużo bliższy niż zwykle, prostackie *równa się*. *Około* wyglądało jak równa się po czołowym zderzeniu z rzeczywistością, przy czym przez *rzeczywistość* Klecki rozumiał wszystko, co wydawało mu się bardziej realne od zasad, norm, liczb i ich pochodnych. Mały Chemik był z niego żaden. Za to Mały Magik – całkiem niezły.

Był więc czwartek, czwartek dobrze już po śniadaniu, a Klecki nadal nie miał ochoty wyjść z domu. Wziął przecież krótki urlop, wychodzić ponad miarę nie musiał. A w domu też można było iść na spacer, nie ma sprawy: tako rzeka pan M. M. Rozglądnął się po pokoju: póki co, cafe to wielce znajome nic było w normie. Uchylił okno, rozsiadł się wygodnie na swoim włochatym dywanie i zaczął wprowadzać się w transik, krok po kroku. Drobnny spacer, tak dla formy.

Wyobraził sobie swój ulubiony park. Na wpół zielone drzewa i parę pomników zatkniętych w różnych zakamarkach. Wybetonowane szerokie aleje i wybrukowane ścieżki, szarość przeci-nająca ową wielką, zielonobrunatną plamę pod różnymi kąтами. Nie za gęsto. A teraz wilki i sarny, przemykające tam i nazad w swej szlachetnej płochliwości. Wiatr w koronach rozszumiał, a wysoko w górze sępy wypatrujące ścierw królików upuszczonych w brzaskliwym pośpiechu przez sowy-wampiry.

Wszedł; jak w gęsty dywan.

Dobrze było znowu odwiedzić to miejsce.

Jak zwykle na łonie natury, Kleckiemu wyrosły cztery kopyta. Na tychże kopytach łąził więc niespiesznie po swym parku, pogwizdując. Chciał odwiedzić borsuka, ale musiał pomylić drogę, bo nie znalazł go tam, gdzie powinien był mieć jamę. Widocznie borsuk nie chciał dziś być znaleziony. Klecki skręcił przy pierwszym lepszym wystającym z ziemi konarze i spokojnie poszedł dalej stępą, gapiąc się to tu, to tam. Raz głucho kopycił po poszyciu, raz kliplapał po dźwięcznie wybetonowanych ścieżkach. Ścieżki prowadziły w pewne z grubsza ustalone strony, poszycie zaś w mnóstwo innych miejsc; w ten sposób po całym parku można było chodzić w nieskończoną ilość celów. Najlepiej było, gdy cały czas zmieniał trasę. Wtedy miał pewność, że nikt – nawet jakaś szczególnie uparta, złośliwa i zapewne dwunożna wersja jego samego – nie ma szans go znaleźć.

Spieszący się gołąb pod jego niespiesznymi kopytami; ucieczka w milczącym wysiłku. Klecki zawsze uważał, że mogły robić to sprawniej. Fakt, że zwykle im się udawało. Nie licząc tych rozkwaszonych przez koła na asfalcie: wrrrrum! pflf. Ale tu nie było samochodów. Za to w mieście, cóż. Udawało im się, ogólnie rzecz biorąc. Statystycznie. Ale można było przecież uciec łatwiej, bardziej ekonomicznie. A one często wybierały zły kąt i zamiast uciekać po prostopadłej – w bok, tępaku, ostro w bok! – uściwały uciec po łagodnym łuku. W kreskówkach też nikt nie ucieka w bok, uświadomił sobie Klecki. Nigdy w bok, zawsze wzdłuż, mając nadzieję, że wielki głaz, pociąg, czy co tam jeszcze innego jakoś wytraci pęd, albo zbcoczy z kursu. Wszyscy ścigamy się z nieuchronnym.

Wreszcie poczuł głód, wrócił więc ze swojego parku do mieszkania.

Gdy już na dwóch nogach, zaczął przygotowywać jedzenie, przypomniał mu się wtorkowy telefon. Doktor od Szczęrych Rozmów, może nawet od Krzyku. *Pani Doktor*; głos w słuchawce był wybitnie damski. Nowe sytuacje, rozmyślał Klecki. Telefony, biała flaga. Ten z lustra musi już mieć dość, skoro zdecydował się na taki krok. Czy on się poddaje, czy może dopiero zaczyna walkę? Zaczyna walkę walkowerem. Sam nie potrafi, sobie radzić. Trzeba tedy szukać znawcy. A wspólnie ze znawcą poszukają sprawcy.

I co, jeśli nie znajdą?

Trudne to dno. Muliste takie.

To dla Kleckiego był problem; prawdziwy. Czy też raczej jeden z jego nadwodnych grzbietów. Ziemiaki chlup do garnka; dolać wrzątku, bo wystają. Całość, czy raczej tyle, ile Klecki potrafił ogarnąć, w dużej mierze instynktownie, przedstawiała się jednocześnie bardzo niemiło i zupełnie niewyjątkowo. Umyć ręce. Panie Herod. I do lodówki po resztę.

Klecki od lat był pożywką dla wszelkiego rodzaju brudu. Brud ten najpierw gnieździł się z upodobaniem w jego rodzinie. Mięso na patelnię; gaz do dechy. Potem, gdy dom stał się już nieaktualny, brud nie ustąpił, lecz wlaźł w jego dwa związki, na tyle nieudane, że Klecki solennie przyrzekł sobie więcej już nie próbować. Sałata, pomidor. Bycie samemu miało swoje słabe strony, ale była to stosunkowo prosta droga, by zachować dobre mniemanie o sobie: Klecki bowiem pozostawał w przekonaniu, że pozostaje w stanie wolnym, by nie unieszczęśliwiać drugiej osoby sobą samym. Skroić tę cebulę, jak mężczyzna. I nawet jeśli czasem podejrzewał, że może się za tym kryć jakiś bliżej nieokreślony rodzaj hipokryzji, to i tak nadal czuł, jak brud sypie się na niego z przypisanych mu konstelacji gwiazd. A więc trzymać kurs!

To wystarczyło.

– Ćwir – powiedział Klecki do gołębia, który przysiadł na parapecie.

Ptak nie odpowiedział.

Był piątek po południu. Klecki po obiedzie przyniósł sobie z kuchni wysoki stołek i postawił pod otwartym na oścież oknem. Teraz siedział tam i starał się utrzymać twarz w słabej, lecz ożywczej bryzie, która wpadała przez okno do środka. Bryza co rusz wiała inaczej, więc Klecki cały czas szukał odpowiedniego kąta. Kiwał się na stołku i wykręcał sobie szyję aż trzeszczało. Trochę ćwiczenia nie zaszkodzi. Nadal nie chciało mu się wychodzić na zewnątrz, a tu proszę, nagle to pachnące, świeże tchnienie, prawie jak znad morza.

Znów popatrzył na gołębia.

– Ćwir, powtórzyl.

Gołąb tym razem postanowił się przedstawić.

– Krrr.

– Można by pomyśleć, że wszystkie się tak nazywacie – mruknął Klecki nieuprzejmie, jakby chciał sobie wynagrodzić wcześniejszy brak zainteresowania z jego strony. Znów wykręcił szyję; gapił się w dal pod kątem czterdziestu kilku stopni.

Gołąb przyjrzał się mu przez moment, uważnie, po czym na powrót skierował wzrok przed siebie.

– Krrr – powtórzyl i ponownie odwrócił się do Kleckiego. – Chcesz mi wmówić, że jesteś aż tak durny, że nie słyszysz różnicy między *krrr* a *krrrrrr*, na przykład?

Klecki przytaknął: energicznie, aż chrupnęło mu w karku. Wyprostował nieco głowę i przesuwał się trochę w bok.

– Zły dzień?

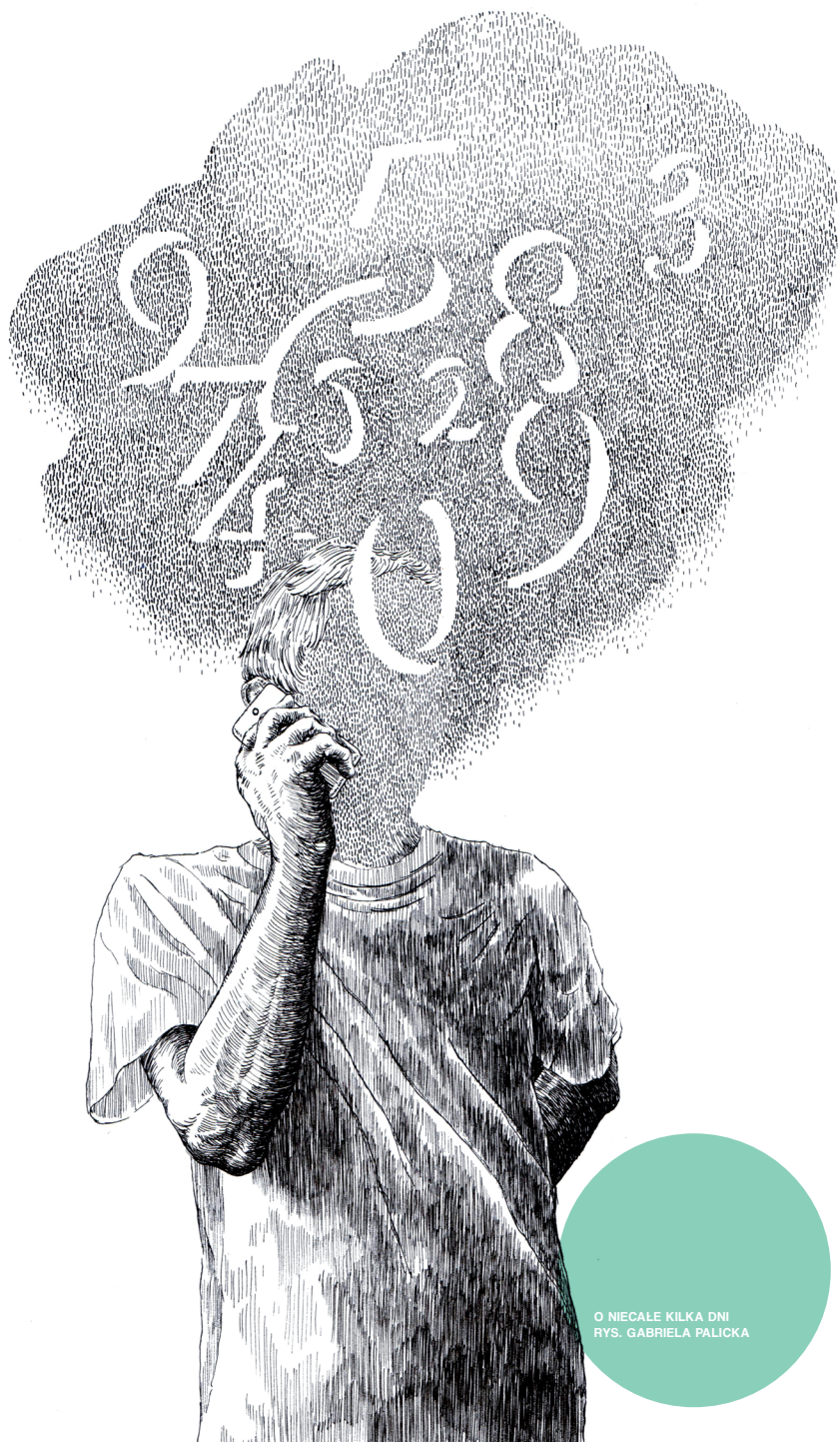
Znów przytaknął. Pewnie, że zły. Słyszał różnicę, bardzo wyraźnie. Sam nie rozumiał dlaczego zachował się tak, jakby nie słyszał, ale szybko strzepnął tę myśl z ramienia. Chciał dalej delektować się po prostu bryzą. Dla odmiany przez chwilę nad niczym się nie zastanawiać.

– Posłuchaj jeszcze raz – zachęcił go gołąb.

Klecki wyprostował głowę i udał, że nastawia ucha.

– Krrr. Krrrrr.

– Nic a nic. Bez różnicy.



O NIECALE KILKA DNI
RYS. GABRIELA PALICKA

Gołąb wyglądał, jakby pomyślał sobie coś brzydkiego.

– Dlaczego to dla ciebie aż tak ważne? – spytał Klecki.

– Bo nie lubię, jak ktoś mnie zaklina w capa – odburknął gołąb. – Wiem, że słyszysz. Nie wiem tylko, dlaczego udajesz. Kosztem mnie, siebie i miłej rozmowy, jaką moglibyśmy już dawno prowadzić.

Klecki się zadumał. Gołąb miał rację.

– Jeszcze raz – poprosił po chwili.

Gołąb zagruchał ponownie. Klecki znów przekrzywił głowę, tym razem w drugą stronę. Przez moment wyglądał, jakby bardzo chciał powtórzyć ten dźwięk, lecz coś go powstrzymywało. Nawet uniósł się trochę na stołku. Gołąb, widząc jego dobrą wolę, powtórzył jeszcze dwa razy.

Czekali.

– Krrr – wreszcie dobył z siebie Klecki.

– No widzisz – pochwalił go gołąb. – Jak chcesz, to umiesz.

– Krrr – powtórzył Klecki. – Krrr.

– Krrr – potwierdził gołąb.

Siedzieli tak w ciszy, lepszej nawet od rozmowy. Starzy przyjaciele smakujący bryzę z dwóch różnych szklanek. W rozświetlonym niebie usianym cienkimi zadrkami chmur faktycznie było coś morskiego i Klecki poczuł się, jakby siedział na wyspie, którą ktoś odwrócił do góry nogami i zawiesił nad błękitną tonią. Takie dziwne Tutaj, odwrócone na lewą stronę. Wyspa. Myspa właściwie, tym bardziej, że Krrr jeszcze. Myspa pełna antylop i antygatorów. A na plaży mały domek, za płotkiem z przeciwprostokątnych. Drapanie pazurków Krrr o blaszany parapet wyrwało go z transu.

Wyglądało na to, że gołąb zamierza odlecieć. Skończył wstępne czynności i skinął mu głową, poważnie i dostojnie. Kleckiemu od razu przeszła ochota do żartów. Jak na zawołanie, zrobiło mu się nawet trochę smutno.

– Spieszysz się? – zapytał.

– Cóż zrobić... – westchnął gołąb. A potem mrugnął. – My tu sobie *tempus fugit*, a czas ucieka.

Klecki pokiwał głową. Tak, żeby było wiadomo, że przyjmuje ten argument. Skoro ptaki obowiązują czasoprzestrzeń, to również obowiązuje je jakiś rozkład dnia.

– Przyleć jeszcze – odezwał się.

– Nasypiesz ziarna, to przylecę – zapewnił gołąb i sfrunął z parapetu w paszczę miasta. Klecki patrzył za nim ze swojej wyspy. Po chwili rozplynął się w szarości, betonie, dymie.

Pani Doktor od Dawania Głosu.

Była sobota wieczorem. Klecki tkwił w kuchni i systematycznie rozbijał jajka na jajecznicę. Trzask i ze środka wypływała esencja. Żywot niedoszły, któremu nie jest dane wykształcić własne naczynie, a więc musi zasilić inne, obce. A potem jeszcze inne i jeszcze inne. Słyszał kto skargę jajka?

W miarę przybliżającego się terminu wizyty, Klecki odczuwał coraz większy niepokój. Nie chodziło mu o to, że się wreszcie załamał. Że się złamał. Ten jego Pomocny Strach, trach. Co chciał go doprowadzić, pomału do szału. A tu małe kuku i wymycek, taki entliczek przepętliczek. I teraz to Strach się bał. I wtakto skamlał: słonioy, słonioy! Zmniejszyć ten gaz. Na raz. O tak.

Tak naprawdę, Klecki bał się, że coś pójdzie źle. Że pani Doktor będzie go kontrować. Podstawić mu pod nos znajome frazy w rodzaju: *A co ja mam powiedzieć?* Frazy-lusterka, polerowane zawsze o rąbek swej własnej, bogato zdobionej, cierpiętniczej chusty. Byłoby to nader niefortunne, gdyby pani Doktor przejawiała tego typu tendencje. Jak wielu innych, Klecki reagował na te frazy atakiem trzęsiączki – szybkim, lecz intensywnym. A gdy wreszcie ustępowała, nie miał już ochoty mówić nic. Nikomu.

Nie, pani Doktor na pewno nie używa lusterka.

Ale może mieć wagę! – co, jeśli ma wagę? – specjalną wagę, w pełni dopasowaną do jej własnych wizji i potrzeb. I gdzie tu w gruncie rzeczy różnica? Może ja też taką mam, przeraził się. Czy według niej kilogram mojego pierza jest cięższy niż kilogram czyjegoś żelaza? I od kogo niby mogłem ją dostać? Czy wagi są zaraźliwe?

Zagapił się, cholera.

Otrząsnął się i zaczął energicznie mieszać lekko przypaloną już jajecznicę. Nie szkodzi, myślał urywanymi półkolami w rytm zgrzytów łyżki, zeschnięte i spieczone kawałki rozplyną się w rzadkiej strukturze z wierzchu. Wyrównywanie poziomów. I poziomiec; na skalę mikro i makro. Poziomów na skalę mikro, a poziomiec na makro. We wszechświecie nie ma linii prostych. Ale będą! Pojawią się! – choć dopiero wtedy, gdy Bogowie, we wszelkich swych postaciach, przetoczą się po wszystkim jednym, zbiorczym walcem. Najpierw przejadą po tych nadto walecznych, zwłaszcza w imię Świętego Tego i Owego. A po części artystycznej, przypisani Bogom lejtanci i skrzydłowi zaczną odczytywać wszystkie nazwiska z kartki, a my będziemy się okropnie nudzić. I pojedynczo na odprawę paszportową: na prawo zimnoniebieski most, na lewo spiekle ruiny. Pieczętki. I urlop, tym razem wieczny.

Klecki zdjął patelnię z gazu, postawił na stole. Usiadł. Chciał jeszcze pomyśleć o czymś weselszym, na trawienie, ale nie wyszło. Zabrał się więc do jedzenia.

Po kolacji stanął przed lustrem, by sprawdzić, czy przypadkiem nie udało mu się trochę skurczyć. Był to, rzecz jasna, absurd: nie dość, że wybierał jeden z gorszych na to momentów, to jeszcze sprawdzał praktycznie codziennie. Jak niby miałby zauważyć, że skurczył się o milimetr? Co z tego, że stawał zawsze w tym samym miejscu, równo przy krawędzi upatrzonego w tym celu kafelka; wystarczyło minimalne wychylenie i już cały pomiar brał w łeb. Wiele razy obiecywał sobie, że zrobi przerwę, że sprawdzi dopiero za kilka dni, za tydzień... ale nie udawało mu się. Skoro więc musiał sprawdzać codziennie, musiał też z góry być przygotowanym na to, że nie zobaczy rezultatu. I był.

Czekanie na cud nie jest sztuką. Jest dyscypliną.

I to najgorszą – bo najbardziej pasywną z możliwych.

Była niedziela, wieczór. I znów parapet, i znów gołąb. Miło: Klecki rozsypał ziarna, a Krrr się zjawił, tak jak obiecywał. Proste. Gadali już ze dwie godziny.

– Albatrosy to dupki. – Krrr przybrał autorytatywny ton. – Spotkałem kiedyś jednego. Wielkie mi rzeczy z tymi ich skrzydłami.

– Przyleciał tu? Do miasta? – Niedziela zawsze nastrajała Kleckiego ze wszechmiar sceptycznie.

– Nie, no coś ty. – Krrr podreptał w miejscu na samą myśl. – Nie robią takich rzeczy. Mam ciotkę nad morzem; wleciałem do niej pewnego razu i akurat u niej był. Jakiś jej znajomy, ponoć. Nie dochodziłem prawdy, nie chciałem się denerwować. Półinteligent, jak wszystkie. Ale jak już trzaskał dziobem, to zawsze z taką nieporadną wyższością, jak starszy szeregowy narodowiec.

To u nich nagminne.

– Tepe i zarozumiałe?

– I to bardziej, niż ci się wydaje. Mściwe do tego. *Mysliwi morza*, klurwa. – Krrr wyraźnie się zaperzył. – Tak o sobie mówią, wiedziałeś? *Mysliwi*. Byle rybitwa robi to samo. Myślałyby kto, że rekiny na skrzydłach. A tu, w mieście, pierwszy lepszy fiat od razu rozkwasiłby je na pieczeń. Wychodzi brak podstawowych pojęć. Relatywizm, determinizm. Zbyt małe mózdzki.

– Z tymi skrzydłami to zwykła kompensacja, czyli.

– Szybko łapiesz. – Krrr, wyraźnie zadowolony, przestał nerwowo drapać parapet. – Mały mózdzek, wielkie mięśnie.

– U nas też tak jest.

– Zauważyłem – westchnął Krrr. – Jesteś pierwszym ludzikiem, z którym udało mi się porozmawiać od bardzo długiego czasu.

– Człowiekiem – poprawił Klecki machinalnie.

– Nie kłóćmy się o drobiazgi – uśmiechnął się ciepło Krrr.

I tak siedzieli sobie obaj na parapecie, rozgrzanym jeszcze od niedawno zaszłego słońca, rozmawiając o różnych różnościach. Było leniwie i sympatycznie. Gołąb, choć lekko już poziewywał, postanowił nawet zostać na film o dziesiątej. Klecki nalał mu wody do spodka i rozkruszył trochę ciasta, które przemyślnie wcześniej kupił. Siedzieli i leniwie dogadywali postaciom w telewizorze – film nie był zbyt dobry, ale jak na ich nastrój nie mógł po prostu być lepszy. Wreszcie po napisach końcowych, gołąb ziewnął jeszcze raz, rozprostował skrzydła i pożegnał się.

– Lecę – powiedział.

Klecki skinął głową.

– Leć.

– Dziękuję za poczęstunek

– Leć już. Bo zaśniesz po drodze.

To była najlepsza niedziela w jego życiu. Gdy kładł się spać, uśmiechnął się.

W środku nocy nagle usłyszał kapanie wody.

W kuchni, gdzieś daleko. Nienawidził tych chwil z całego serca. Leżał tak i wbrew sobie nasłuchiwał. Słuchał poprzez powoli wzbierającą w nim furję, słuchał coraz intensywniej. Na początku, by za wszelką cenę przekonać sam siebie, że odgłos ten nie istnieje i że za moment uda mu się jednak zasnąć. Później, by przekonać się, że kapanie wcale nie jest aż tak głośne. Dźwięk jednak, dokładnie jak to ma w zwyczaju, wyczuł, że Klecki nie śpi i powoli zbliżał się do niego jak treser.

Coraz wyraźniejszy.

Iluzja, wściekle myślał Klecki; tylko prostym umysłem iluzja wydaje się nieprawdą. Odgłos kapania cały czas pozostaje jednaki, zmysły jednak dostrajają się i wzmacniają dźwięk. Ciemność nadaje mu zapach i kształt, czasem nawet fakturę, odczuwaną całym ciałem, pozornie bezpiecznym pod kołdrą. W ten właśnie sposób odgłos wody, pozostając taki sam, jednocześnie ulega zmianom, stając się głośniejszy i bardziej wyraźny.

Klecki leżał w ciemnościach w swoim rozpękniętym już kokonie, z którego wyciekał zacznym jego snów. Leżał, nasłuchując. Kap. Leżał i starał się odsunąć od siebie ten moment, w którym wreszcie będzie musiał. Kap. A będzie musiał. Ale jeszcze leżał, myśląc. O tym, jak to pozostaje. Kap. Już tylko wstać. Wstać, znów dokręcić ten kran, a potem wrócić do łóżka i nasłuchiwać

ciszy, nagle tak obco pustej. Kap. Ciszy, która nie jest w stanie wypełnić daremnego oczekiwania na sen. Ciszy zrezygnowanej już i odrętwiałej. Kap. Kra-kra-kran. Gry tu kres! Czerń i krach! Klecki często myślał o wymianie tej uszczelki, ale nigdy mu się nie chciało. Noce przerywane kapaniem rozdrażniały go tak bardzo, że nazajutrz, jeśli nie musiał, w ogóle do kuchni nie wchodził. A w pewnym momencie i tak musiał; rozdrażniało go to ponownie.

Ale zaraz: tym razem jednak coś było inaczej niż zwykle.

Ale co? Klecki w pewnym momencie poczuł tę zmianę; jaką zmianę? Co się zmieniło? Nawet roślina w jego wnętrzu wstrzymała oddech i razem, choć każde na własny rachunek, usiłowali wyczuć owo szczególne, nowe coś. Minęły całe lata ciszy, zanim Klecki zorientował się, że to właśnie tam leży jej źródło. W ciszy, bez kapania.

Przestało.

Klecki wsłuchał się w ciemność tak intensywnie jak jeszcze nigdy.

Po co? Czyżby jednak chciał je znów usłyszeć? Czy był więźniem własnego stalego utyskiwania? Czy przyzwyczał się na tyle do swoich codziennych mąk, że mimo wszystko nie chciał ich stracić? Klecki słyszał te pytania. Nadlatywały. Zanim jednak go przeszły, usłyszał. Jeden dźwięk.

Ostatnia, wielka kropla. Tak dźwięczna, że poczuł, jak rozpryskuje mu się na czole.

Dreszcz. Dreszcz, który ze sobą przyniosła: nieprzyjemny, lecz orzeźwiający.

Spadła mu na czoło i odbiła się echem w wyraźnej, bezsennej już, kryształowej pustce. Rozpełzła się po nim od głowy poprzez tułów aż do nóg. Chłód, zrazu powierzchniowy, lecz coraz przenikliwszy. Dziwnie przestrzenny szept gdzieś tam, w środku, coraz głębiej. Aż wreszcie każda część i każde spojenie, wszystko zaczęło powoli parować.

Kłęby dymu, coraz gęstsze, przysłaniały mu oczy od wewnątrz. Klecki nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego organizm się przegrzał. Leżał bez ruchu, gotowy na strach, ale ten jakoś nie przychodził. Odrzucił ciężką od skroplonej pary kołdrę. Chciał więcej, chciał szybciej się wystudzić. Jego ciałem raz po raz wstrząsał coraz gwałtowniejszy, bardzo nieprzyjemny już, jak w wysokiej gorączce, dreszcz. Niemał go dławił. Klecki w jakiś nieuświadomiony sobie sposób potrafił jednak spojrzeć na wylot poprzez to chwilowe rozdygotanie, zobaczyć na jego końcu jakąś gładkość, do której przecież cały ten czas dążył. I tak było już za późno na jakikolwiek odwrót. Nie było zresztą jak, ani gdzie.

Wydychał więc, coraz gwałtowniej, gęste obłoki pary, która paliła go od środka. Ból, przegowany. Każdy pierścień jego płonącej tchawicy. Nie było czasu na zacerpnięcie powietrza. Czuł, jak roślina w jego wnętrzu trzepocze w panice, jak jej liście i łodyga rozmiękają na miazgę. Krztusił się i dyszał dalej, z głębi niemal bulgoczących płuc. Poprzez łzy, piekące go w oczy. Poczuciu wreszcie ten zimny smak. Poczuciu.

Wreszcie.

Był poniedziałek. Klecki siedział w poczekalni u pani Doktor i czekał.

Siedział już dość długo i mimo woli się rozluźnił. Idąc tu, do gabinetu, czuł jeszcze, że jest trochę spięty. Jednak po wydarzeniach tej nocy miał wrażenie, że teraz, gdy jest wystudzony, jego spięcia są dużo mniej krytyczne. Prawie nie bolało; i mniej iskier. Ciekawe co będzie dalej, pomyślał.

Na stoliku leżały jakieś czasopisma. Zupełnie jak u fryzjera. Raz, dwa i po sprawie. Nie wziął ze sobą zegarka, ale wiedział, że wyszedł z domu dużo wcześniej, tak na wszelki wypadek.

Czasu było pewnie jeszcze dość, choć siedział już przecież długo. Zastanawiał się, czy tam, w środku, coś się dzieje. A może gabinet jest jeszcze pusty, może zapomniała. Pani Doktor, która miała go nauczyć. Ale nie zdobył się na to, by zapukać i sprawdzić. Przecież mógłby przeszkodzić. Przyzwyczajenie to faktycznie druga natura. Lepiej zainteresować się tymi magazynami.

Sięgnął więc.

Coś jednak poszło nie tak. Nie trafił.

Wydawało mu się, że wyraźnie je widzi, tak samo jak stolik, usytuowany po lewej, zaraz koło drzwi, o jedno miejsce od niego. Rozejrzał się. Był w poczekalni sam. I dobrze: nie chciał, żeby ktoś był świadkiem. Spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Wydawało mu się, że sięga we właściwym kierunku, że dosięga; z jakiegoś jednak powodu jego dłoń nie była w stanie chwytać; niczego.

Wstał więc, chcąc podejść jak najbliżej stolika i czasopism. Spróbować jeszcze raz. Zanim jednak zdążył wymyśleć, co to wszystko może oznaczać, jego wzrok padł na wiszące po przekątnej lustro. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Coś ciągnęło go w tamtą stronę.

Podszedł więc.

Było na tyle duże, że mieściło się w nim całe jego odbicie. Tym bardziej więc nie mógł mieć już żadnych wątpliwości. Rozwiewał się. Znikał stąd. Z każdą chwilą robił się coraz bardziej przezroczysty. A więc taki miał być epilog wystudzenia. Jego rozwiewające się ramiona i głowa. Zbliżył twarz do tafli. Widział już coraz mniej. Jego rozplywające się oczy. W ostatniej próbie potwierdzenia poruszył ręką w kierunku własnej piersi.

Przez chwilę jeszcze w korytarzu unosiła się mgiełka, mgiełka po uśmiechu: tak lekka, że nawet lustro miało z jej odbiciem kłopot.

Solidne drzwi gabinetu otwarły się lekko, skrzypiąc.

– Pan Klecki?

W poczekalni nie było nikogo.



Perfect Day

3

Gdy wychodziłem z więzienia na mój ostatni dzień życia, na niebie kłębiły się szarosine chmury. To wszystko dlatego, że skłamałem, kiedy miałem siedemnaście lat.

– Widzisz, jak to jest – powiedziałem do Grety, która stała obok mnie. – Ciągłe wiszą mi nad głową takie cholerne chmury.

– Wiem – rzekła, kładąc rękę na moim ramieniu. – To nie twoja wina.

W wieku osiemnastu lat rozbijałem się po tanich barach i kanałach San Francisco. Ojciec wyrzucił mnie z domu, kiedy dowiedział się, że podpaliłem stodołę. Nie dlatego, że to zrobiłem – tylko dlatego, że się nie przyznałem. Było gorące lato, na krzewach kwitł agrest, a moja koleżanka Vikey chodziła w krótkich szortach i bez stanika. Trudno było się skoncentrować – nawet nie pamiętam, kiedy podczas smętnych przemyśleń na siano wypadł mi z gęby papieros.

Moje późniejsze życie było dzikie i melancholijne zarazem. Włączyłem się, grałem bluesa w podrzędnych knajpach i wykonywałem różne prace. Czasem tęskniłem za domem, a tęsknota i świadomość wygnania potrafią niekiedy złamać serce.

Kuśtykałem, bo podczas pewnej pijackiej nocy ktoś rozwalił mi stół na nodze. Zawsze miałem pecha. Nie mogłem iść do lekarza, bo oczywiście nie miałem wtedy pracy.

Były też i dobre momenty. Kiedy jechałem na otwartej platformie pociągu z Memphis do Sacramento, ciepły wiatr, który szumiał w polach jęczmienia, przewiewał mi koszulę i przeslizgiwał się między palcami ręki, w której trzymałem butelkę brandy, i nie pragnąłem wtedy niczego więcej.

Później mieszkalem w tanim, sypiącym tynkiem ze ścian mieszkaniu nad morzem. Gretę poznałem, kiedy po którejś wyjątkowo ciężkiej nocy spała na mojej klatce schodowej, przykryta wczorajszą gazetą. Utrzymywałem się z grania; chodziliśmy do przyportowego baru, gdzie dawali dobre piwo i tanią whiskey. Ale przychodziły tam różne typy, a w portowych miastach zazwyczaj kwitnie handel czymś mocniejszym niż whiskey i bardziej błyszczącym niż drobiny cukru rozsypane na chodniku w słoneczny dzień.

Ludzie przychodzący na nasze koncerty byli mieszaniną biedaków i ekscentryków, pachnącą dzikim wiatrem znad morza i marzeniami o awanturczym życiu. Dwóch spokrewnionych starszków, którzy przesiadywali w barze prawie codziennie, z zamglonymi oczyma wspominało dawne, zapomniane przez resztę świata życie na statkach.

I kiedyś, późno w nocy, przyszła tam Donia Rosa. Staruszka, żona któregoś z braci. Skończyliśmy grać kawałek czasu temu i teraz tylko wlewaliśmy w siebie bezmyślnie płyny. Usiadła obok mnie, przy barze.

– Whiskey – powiedziała.

Wyszczrzyłem zęby do chłopaków.

– Wyplujesz od razu – powiedziałem. – Nie piłem nic gorszego od czasu podstawówki.

Donia Rosa wzruszyła ramionami i zapaliła długiego papierosa. Dym ostaniał całą jej twarz, ale po głosie i niecodziennym zachowaniu poznałem, że chyba nie czuje się za dobrze.

– Jak dawno skończyliście grać, złotko?

– Jakies dwie godziny temu. Szkoda, że pani nie było. Zagraliśmy nawet „Whyfaring Stranger”.

Pokiwała w zadumie głową.

– Jak właściwie nazywa się ten wasz zespół? – zapytała.

– Szalony Sukinsyn – odparłem z dumą.

Donia Rosa spojrzała na mnie, wychyliła zawartość szklanki, po czym zanosła się płaczem.

– Zgubiłam cały tooowar – zachlipała bez ogródek. – Ktoś mnie orznął!

– Co? – Zakrztusiłem się zawartością swojej szklanki. Na suficie, w rogu sali, buczał cicho wentylator.

– Zasnęłam na ławce, złotko – lkała dalej. – Mam cukrzycę.

Chwilę trwało, zanim poustawiałem sobie w głowie wszystkie fakty. Nawet wtedy nie wyglądały one przekonująco jak na mój banalny umysł.

– Szmuglowała pani prochy dla tych typów? – zapytałem z niedowierzaniem.

Donia Rosa siąknęła tylko żałościwie nosem.

– Mam na utrzymaniu siostrzenicę i jej dzieeeci... A teraz ten skurwiol mnie zabije!

Przez chwilę myślałem jeszcze, że to jakaś pomyłka. Wymieniłem nawet spojrzenia z naszym gitarzystą. Ale siedzieliśmy tak jakiś czas i w końcu drzwi otworzyły się, jakby ktoś wywalił je kopniakiem.

– I co, zdziro? – ryknął bez ogródek wysoki, tyczkowaty facet z przydługimi siwymi włosami, którego czasem widywałem w okolicy. – Masz mi coś do powiedzenia?!

W szoku zastanawiałem się, dlaczego przyszedł sam, ale z jego piskliwego tonu i nerwowych ruchów można było wnioskować, że był dość wrywny. Wyobrażałem sobie, że boss czekał godzinę na Donię Rosę w samochodzie, o szyby którego stukał deszcz. A jego przydupas nie potrzebował kumpli, żeby załatwić staruszkę.

Tyczkowaty podszedł i uderzył ją w twarz.

– To dopiero początek – powiedział, wyciągając pistolet i przykładając do skroni trzęsącej się kobiety.

– Nie dla ciebie, gnojku – mruknąłem, po czym rozbiłem mu butelkę na głowie. Tyczkowaty zachwiał się i runął głową prosto na skraj jednego ze stojących w nieładzie po koncercie krzeseł. No i zabiłem skurwiela.

Nigdy nie było mi po drodze ze światem. Gdy wpadłem, siąpił żalosny deszcz, a niebo było szare. W dawnych czasach, takich, których nie pamiętam, dostałbym za kratkami może dwadzieścia lat, a może nawet wyrok w zawieszeniu. Ale prawa dawno się zmieniły, a typ, którego zabiłem, oprócz ciemnych interesów miał również wujka w prokuraturze. A ja byłem zwykłym śmieciem spod Denver, który przez jakiś czas grał w zespole Szalony Sukinsyn.

Opuściliśmy szarą bryłę areztu. Najpierw poszliśmy nad rzekę. Greta trzymała mnie ciasno pod ramię, tak jak kumpelka trzyma swoją najlepszą przyjaciółkę, albo jak o wiele młodsza



PERFECT DAY
RYS. ALEKSANDRA KUBACKA

dziewczyna ściska zaprzyjaźnionego, starszego profesora – z serdecznym szacunkiem. Uścisk był szczelny i ciepły, prawie nieprzemakalny.

– Och, Bill, pamiętasz jak oboje zasnęliśmy na klatce schodowej, bo nie potrafiłszy się wczłochać na górę? – westchnęła z lekkim uśmiechem.

– I jacyś żule napisali nam na czołach markerem „frajerzy”...

– Wcale nie napisali „frajerzy”, tylko „tępe chujki”.

– Nie chciałem przeklinać przy damie – uśmiechnąłem się lekko.

– I nie żule, tylko twoi koledzy z zespołu.

Uśmiechnąłem się znowu, z wdzięcznością, która załała mi serce na wspomnienie twarzy Marka i Elthona.

– Zawsze łądowałaś na klatce...

Rzeka była wyjątkowo spokojna i za chwilę zza chmur wyszło słońce. Nie mogliśmy zwiąć. Miałem na szyi opaskę z GPS-em i jedyną opcją byłoby odrąbanie sobie głowy. Dodatkowo Grecie też dali opaskę. Cokolwiek byśmy wykombinowali, byliśmy podwójnie uziemieni. Usiedliśmy na ławce i karmiliśmy łabędzie kawałkami chleba.

– Wiesz, zawsze lubiłam patrzeć, jak jaracie szlugi przed występem i wymieniacie ze sobą te spojrzenia... Jakbyście tylko wy wiedzieli, o co chodzi – powiedziała Greta, uszczelniając uścisk.

– Bo tak było – wyszczerzyłem się. – To był najfajniejszy okres mojego życia. Wcześniej cały czas wpadałem w tarapaty.

Zadumałem się na chwilę, patrząc w spokojny nurt rzeki.

– Ciekawe co z Donią Rosą...

– Musiała zwiąć z rodziną – powiedziała Greta. – Pewnie siedzą teraz gdzieś w Meksyku.

Przez chwilę poczułem się dziwnie i w końcu przyszła, przetoczywszy się po moim wnętrzu, zimna, dusząca fala rozpacz. Nic nie mogłem zrobić. Słońce błyszczało między zielonymi liśćmi drzew, a z niedalekich domów dochodził zapach smażonego jedzenia i przez tę krótką chwilę było to nie do zniesienia.

– No, ale chyba nie przyszliśmy tu gadać o Donii Rosie – powiedziała Greta trochę zbyt energicznie, strząsając z głosu okruchy kielkującego tam zniecka przygnębienia. – Wstawaj, idziemy coś zjeść.

Choć nadal byłem z tym wszystkim sam i wiedziałem, że będzie tak do końca, otrząsnąłem się i wraz z oddechem wstąpiła we mnie nowa siła. Greta objęła mnie lekko w pasie, zapalając dla mnie papierosa. Sprawiała, że prawie zapomniałem, kim jestem. Czuję się jak ktoś inny... Ktoś prosty i uczciwy.

Poszliśmy do Louiego, mojego ulubionego baru, gdzie do wszystkiego dawali gratis ostry sos i oliwę. Za barem stał Alan, w zamyśleniu gładząc wąsy i kiwając głową w rytm piosenki „Renegades”, nadawanej z szafy grającej.

– Siema, Bill! – wyszczerzył się do mnie, gdy tylko weszliśmy. – Słyszałem, że cię zapuszkowali?

Pokiwałem smętnie głową, ale przy Alanie nie potrafiłem długo być smutny.

– Co dla was, dzieciaki?

– Pizzę – powiedzieliśmy chórem i spojrzawszy na siebie, wybuchliśmy śmiechem.

– Siadajcie!

Podeszliśmy do stolika przy oknie, z którego widać było portowe zabudowania, a dalej błyszczało w słońcu morze. Za chwilę Alan postawił przed nami dwa kufle z ciemnym piwem.

– Od firmy – powiedział, mrugając zawadiacko, jak to tylko on potrafił. – Nowy narybek. Za tydzień będziemy mieli kolejną premierę, jasne z nutką kolendry.

– Chciałbym tego spróbować...

– Możemy zapalić, Alan? – zapytała Greta.

– Ty i Bill możecie tutaj wszystko – uśmiechnęła się i wrócił za bar. Greta wstała i podeszła do szafy grającej. Po chwili pomieszczenie wypełniło się dźwiękami „Out of time” Stonesów.

Pilimy ciemne piwo i paliliśmy.

– Chciałabym, żeby tak było zawsze – westchnęła cicho Greta.

– Nie zawsze można mieć to, co chcesz – powiedziałem, żeby nie wgłębiać się zbyt w temat.

– Nie gadaj mi tu Mickiem Jaggerem!

Uśmiechnąłem się. Do stolika podszedł Alan z wielką pizzą.

– Myślisz, że w niebie słuchają Stonesów? – zapytałem w zadumie.

Greta wydmuchała z oburzeniem dym, patrząc na mnie jak na idiotę.

– A jak myślisz?! Mają tam przecież Elvisa. I Lennona... Oni uwielbiali taką muzykę.

– Nieee, Lennon nie mógłby cały czas grać bluesa.

– Ale na pewno był przyzwoitym człowiekiem.

Minuty mijały i w pewnym momencie muzyka przestała grać. Ludzie wokół wydawali się nie zwracać na to uwagi, nadal rozmawiali, kłócili się, jedli – życie toczyło się swoim torem. W pewnym momencie usłyszałem słaby dźwięk skrzypiec, brzmiący długą, melancholijną nutą gdzieś z okolic baru, chyba z zaplecza.

– Słyszysz? – zwróciłem się do Grety, ale ona tylko uśmiechała się szeroko, mrugając do mnie jak nastolatka.

Do skrzypiec dołączyła gitara i po chwili z zaplecza na środek sali wkroczyli znajomi mi chłopcy.

– Bill szalonym aniołem był – zawył Elthon, grając jednocześnie na gitarze. – W tanich knajpach bluesa wyyy! Przeszedł doliny, by zmasać swe winy, na złoczyńcę podniósł dłoń... I zapuszkowali go...

– O tak, zapuszkowali go – zawtórował przeciągle Mark.

– Chłopaki! – wrzasnąłem, wstając z krzesła.

Koledzy skończyli grać i podeszli do mojego stolika, a sala wypełniła się oklaskami. Uścisnęliśmy się, Greta przystawiła krzesła.

– Kto z was napisał tekst?! – ryknąłem w spazmie śmiechu.

– To ja – burknął Elthon, czerwieniąc się lekko.

– Dlatego nigdy ci na to nie pozwalaliśmy, stary. – Poklepałem go po plecach. – Zajebisty kawałek.

– Będziemy go grać na twoim pogrzebie – oznajmił Mark.

– Dzięki – mruknąłem. – Fajnie, że mogłem dostać próbkę.

– To jak Bill, pogramy coś? – wyszczerzył się Elthon. – Alan dał nam dzisiaj na wyłączność całą knajpę.

– Niemożliwe – powiedziałem w pełni szczęścia. – Szalony Sukinsyn znowu w formie!

Mark wstał od stołu i po chwili wrócił z moją starą gitarą.

Graliśmy wszystko: od naszych starych piosenek po standardy Mott the Hoople. Straciłem poczucie czasu i zatopiłem się w starych, dobrze mi znanych dźwiękach, wśród których czułem się jak w domu. Nieliczna publiczność zgromadzona u Louiego szalała – dostałem nawet w twarz

czyjaś podkoszulka. Wieść chyba rozniosła się po porcie, bo wieczorem pojawił się już spory tłumek. Zrobiliśmy chwilę przerwy i zaczęliśmy od nowa. Widziałem Gretę siedzącą na stoliku przy oknie. Gdy zagraliśmy „All the young dudes”, zobaczyłem, że ukradkiem wyciera z oczu łzy.

Późną nocą, gdy pożegnałem przyjaciół, poszliśmy na plażę i przy ognisku gapiliśmy się na oświetlone kutry rybackie, pływające po pełnym morzu. I czułem się tak, jak zawsze, kiedy na nie patrzyłem – pełen nadziei i wiary w następny dzień, jakbym mógł iść do przodu, nieważne, jaką parszywą przeszłość miałem za sobą. Gdy zaświtało, ogień jeszcze się tlił, a nam w butelce zostało trochę taniego wina.

– Musimy iść – powiedział ktoś inny, ktoś w mojej głowie, kto nie czuł chłodu piasku pod tyłkiem i ciepłej ręki Grety, ani stalowego ucisku w żołądku i sflaczałego serca, wypełnionego widokiem błyszczących w słońcu fal. Ktoś, kto dawno pogodził się z losem i czekał tylko na kolejną podróż.

Wstaliśmy ciężko, nic nie mówiąc. Po ulicach kręciły się bezdomne koty, a niedobitki, które nie zdołały doczołgać się wczoraj do domu, chrapały na ławkach.

– Wiesz, Bill, chłopaki robili wszystko, żeby cię z tego wyciągnąć – powiedziała Greta, jakby to miało jakieś znaczenie. – Pisaliśmy nawet do prezydenta...

– Najwidoczniej problemy garstki ludzi w tym brutalnym świecie niewiele znaczą – uśmiechnąłem się lekko, gdy słońce oświetliło mi twarz.

Niedaleko przed nami widniała już czerwona bryła aresztu.

– Pozdrów ode mnie Johna Lennona – powiedziała Greta.

– Załatwione.

Obejrzałem się za siebie i zapaliliśmy ostatniego wspólnego papierosa.

– Dziękuję ci, Greto. – powiedziałem, wydmuchując dym. – To był naprawdę idealny dzień.



Zbrodnia w majątku Fortegenów

4

Struga krwi na frontowych schodach wyglądała, jakby wypłynęła spod drzwi. Z każdym stopniem była cieńsza, aż w końcu znikwała całkowicie na wyspanej białymi kamykami alejce.

Kapitan Menton objął wzrokiem dużą posiadłość i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nic tu nie pasuje do bogato zdobionej fasady: ani krew, ani młody wartownik przestępujący z nogi na nogę, ani wreszcie on sam.

Oficerów straży zapraszano w takie miejsca na wystawne bale albo okolicznościowe polowania. Nigdy nie wzywano ich do zbrodni, bo nawet gdy do nich dochodziło w wielkich dworach, to były starannie zamiatane pod perskie dywany. W majątku Fortegenów nie przeżył jednak nikt, kto mógłby się o to zatroszczyć.

Menton przyjął nieporadny salut od młodzika i poczekał, aż ten otworzy przed nim drzwi. Chociaż twarz kapitana pozostała niewzruszona, zdziwił się, gdy za progiem nie dostrzegł żadnego ciała.

Smuga krwi zakręcała w przestronnym holu i biegła gdzieś w głąb budynku. Menton kucnął przy niej, jakby podejrzewał, że wzrok go zawodzi i dopiero z bliska dostrzeże jej prawdziwy kształt. Z każdej odległości wyglądał on jednak tak samo: równo, symetrycznie jak wymalowany pędzlem. Nie mógł go pozostawić ani krwawiący człowiek, ani ciągnięte po ziemi ciało.

Podążał za śladem jak zahipnotyzowany, mimo że słyszał za sobą kroki przyspieszające z każdą chwilą.

– Panie kapitanie! – zawołał ktoś.

Jeszcze zanim Menton się odwrócił, zgadł, że głos musiał należeć do tutejszego dowódcy.

Kapitan zatrzymał się niechętnie i spojrział na mężczyznę. Był to kapral w dosyć zaawansowanym wieku, który pewnie zastanawiał się, czy bieganie za przyjezdnym oficerem nie podkopie jego wizerunku u podwładnych.

– Ktoś przeżył? – spytał Menton zamiast się przedstawić.

– Chyba nie – odparł kapral, tak mocno akcentując pierwsze słowo, że następujące po nim „nie” zdawało się być jedynie znakiem interpunkcyjnym.

– Chyba – powtórzył kapitan i podążył śladem krwi.

Smuga biegła przez korytarz dla służby, zakręcała dwa razy, aż w końcu wpełzała pod masywne drzwi, przy których stał kolejny wartownik. Ten żołnierz był nieco starszy od młodzika na zewnątrz. Zasalutował już całkiem poprawnie, lecz gdy otwierał drzwi, jego ręce drżały jak osikowe gałązki na wietrze.

Kapitan zdawał się nie zauważać ani roztrzęsionego szeregowca, ani podążającego za nim niepewnym krokiem kaprała. Lata służby nauczyły go szanować te rzadkie sytuacje, gdy czegoś nie potrafił wytłumaczyć.

Sięgnął po pochodnię i szedł ostrożnie wąskimi schodami. W słabym świetle płomienia regularny ślad krwi przywodził na myśl skojarzenie z dywanikiem. Na dole znajdowały się drugie

drzwi, znacznie masywniejsze od poprzednich, zabezpieczone ciężkimi sztabami. Menton był pewien, że w dzisiejszych dworach już się takich nie używa. Sztaba zresztą wyglądała na wyjętą z dawnych czasów, podczas gdy wrota wykonano całkiem niedawno z jasnego jednorodnego drzewa – osika.

Kapral i szeregowiec nie mieli odwagi się odezwać. Spróbowali unieść sztabę, aby wpuścić kapitana do środka. We dwóch nie dali rady. Menton oddał pochodnię starszemu mężczyźnie i podniósł sztabę z młodszym żołnierzem. Była wyjątkowo ciężka jak na zabezpieczenie drzwi z miękkiego drzewa.

W korytarzu, który ukazał się ich oczom, leżało wprawdzie ciało, ale już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że z intrygującym śladem nie ma nic wspólnego. Smuga omijała je bowiem i biegła gdzieś dalej, pod kolejne drzwi.

Menton wziął pochodnię od kaprala i zaczął oględziny od krzyża wymalowanego zakrzepłą krwią na jasnym osikowym drewnie. Raczej nie miał związku ze świeżymi śladami. Na ścianach wisiały wiechcie ziół, a na podłodze stały ława i nieduży stolik. Ciało należało do postawnego mężczyzny, który nosił kilka warstw odzieży założonych jedna na drugą, jak ktoś, kto musi przebywać długo w bezruchu, np. w zimnym lochu.

Kapitan kucnął przy nim. Strażnik, bo taką najwyraźniej pełnił rolę, miał duży nóż i ciężki drąg, który wytracono mu z rąk. Napastnik walczył mieczem. Pierwsza rana na przedramieniu była głęboka jak od dobrej jakości ostrza. Potem precyzyjne pchnięcie w serce. Menton był gotów się założyć, że to robota dobrego najemnika, a nie przypadkowego marudera.

Zaintrygowało go wyrzucenie pod ubraniem ofiary i spod kilku warstw materiału wyluskał metalową buteleczkę, sporej wielkości jak na przedmiot noszony na szyi. Otworzył ją ostrożnie, powąchał i wylał kilka kropel na palec. Ciecz nie miała zapachu, barwy ani smaku, zupełnie jak czysta woda.

– Jakiś tutejszy zwyczaj? – zastanowił się głośno.

– Wszyscy takie mieli, służba i wartownicy – powiedział kapral.

Kapitan spojrział na kolejne drzwi, tym razem z całkiem nowoczesnym żeliwnym zamkiem.

– Wiadomo, gdzie jest klucz? – spytał.

– Drzwi są otwarte, tak je zastaliśmy – oświadczył kapral.

– Wiadomo gdzie jest klucz?

– Nie, panie kapitanie – odparł starszy mężczyzna, a tytuł brzmiał w jego ustach jak obelga.

Menton nacisnął na klamkę i otworzył drzwi. Nim światło pochodni zdążyło przekroczyć próg, jakieś kształty poruszyły się i z cichym szmerem czmychnęły przed nimi. Pewnie szczury.

To było ostatnie pomieszczenie, a właściwie cela, gdzie kończyła się lub zaczynała smuga krwi. Na środku podłogi leżało ciało z niemal całkowicie ogryzioną twarzą. Mężczyzna wciąż trzymał w ręku unurzany we krwi miecz – broń dobrej jakości, miał też drogie buty i porządną, skórzaną kurtkę. Wyglądał na kogoś, komu nie brakowało pieniędzy albo kto przykładał dużą wagę do stroju.

Przez szyję trupa biegły symetryczne rany o nierównych brzegach, zupełnie jakby jakieś zwierzę rozerwało krtań i tętnicę jednym ruchem łapy. Stworzenie o trzech pazurach, dostatecznie silne, by zabić dorosłego mężczyznę z bronią w ręku.

Smuga krwi zniknęła dokładnie pod ciałem.

Menton wziął pochodnię i obejrzał celę. Była wyjątkowo czysta jak na tego typu miejsce: oddzielony ścianką wykusz, łóżko z prawdziwą pościelą, książki... Kapitan sięgnął po jeden z tytułów. „Poetyka” Arystotelesa – nietypowa lektura dla więźnia.

– Wiadomo, kogo tu trzymano? – spytał Menton, choć nie spodziewał się odpowiedzi.

– Czy pan kapitan życzy sobie obejrzeć sypialnię pana Fortegeny – powiedział kapral. Zabawne, choć zdanie miało konstrukcję pytania, brzmiało jak oświadczenie.

Fortegen był stary. Wpatrując się w jego pomarszczoną jak wędzona śliwka twarz, Menton zastanawiał się, jakim cudem ten człowiek dożył swojego zabójstwa.

Zmarł spokojnie we śnie, przeбитym jednym precyzyjnym pchnięciem. Wszystko wskazywało na to, że nawet nie usłyszał napastnika.

– Dobra śmierć – powiedział kapral, jakby właśnie myślał o tym samym.

„Tak” – odparł w duchu kapitan. – „Nie ma to jak zostać zamordowanym”.

– Proszę mi o nim opowiedzieć – odparł, wskazując zwłoki.

Starszy kapral wzruszył ramionami. Może uważał, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia, a może historia ofiary wydawała mu się zupełnie bez znaczenia w obliczu jej śmierci.

– Ojciec pana Fortegeny, baron, zmarł wcześniej, pozostawiając dwóch synów. Starszy z nich, Dawid, posłał brata do armii, podstępem pozbawiając go ojcowizny, ale młodszy Wiktor był w czepku urodzony, a mamka mu ten czepkę zasuszyła na szczęście.

Tak więc Wiktor Fortegen trafił na front krótko po zaciągu, lecz z każdej opresji wychodził obronną ręką jakby kule się go nie imały. Gdy wrócił z wojny, książę nasz za zasługi nadał mu tytuł wicehrabiowski i ten majątek. Potem jeszcze poślubił pannę, która wniosła mu w posagu pięć wsi.

Szczęście im się potem jak nikomu. Pożar zawsze omijał ich lasy, zaraza ich stada i nawet przy powodziach woda ich wsi nie zalewała. Bardzo szybko urodził im się syn Tomasz, ale drugiego potomka nie mieli. Ponoć pan nie chciał przez wzgląd na swojego brata, by i jego dzieci się kiedyś nie powadziły o ojcowiznę.

Z młodego dziedzica wyrósł chłop na schwał, aż miejscowe szlachcianki przebierały nogami na jego widok. Wziął za żonę najpiękniejszą i najbogatszą. Pamiętam to wesele – dwa tygodnie padało, a w dniu ślubu panicza słońce wyszło i niebo tak błękitne się zrobiło, że aż ludzie znak krzyża czynili.

Starsi spluwali potem przez ramię, bo mówili, że takich czepków, co to najmniejszą niedolę od człowieka oddalają, to pan Bóg nie rozdaje. Od kogo innego musiało więc pochodzić to szczęście i biada tym, co z niego czerpali!

Kapral zamilkł na chwilę i zmierzył Mentona wzrokiem, jakby upewniał się, czy słuchacz rozumie grozę tego wydarzenia. Kapitan wątpił, by przeszedł pomyślnie test, lecz stary żołnierz i tak wrócił do swojej opowieści.

– Gadali potem ludzie, że diabeł o zaciągnięty dług się upomniał albo dobra passa zawiść na wicehrabiego ściągnęła. Dość rzec, że szlachcianka, którą Tomasz za żonę pojął, nie mogła powić dziecka. Wszyscy tu w okolicy słyszeli, że Fortegenowie baby wiedzące sprowadzali i czarowników jakichś z zamorskich krajów, ale tego uroku nikt odczynić nie potrafił. W końcu kobieta, która nie mogła dać potomka mężowi, powiesiła się z rozpaczy...

– Sama? – przerwał Menton.

– Możliwe, że sama – odparł kapral, znów akcentując pierwszy wyraz tak, jakby odpowiedź brzmiała tylko „możliwe”.

– Panicz wziął drugą żonę? – spytał Menton głównie po to, by zachęcić żołnierza do kontynuowania opowieści.

– Nie zdążył – powiedział kapral. – Poślizgnął się na balu i upadając, uderzył głową o postument marmurowej rzeźby. Dowódca mój w tamtych latach twierdził, że się wszystkie lata szczęścia jego ojca musiały na takiego pecha złożyć.

– Zatem Wiktor Fortegen został bez dziedzica, a jego brat? – zagadnął kapitan.

– Pięć córek mu się urodziło. Ponoć kara za to, że młodszego brata na ojcowiznie chciał oszukać.

„A jakżeby inaczej?” – pomyślał Menton – „Wszystko przecież jest jakąś karą, klątwą albo działaniem szatana”.

– Wicehrabia Fortegen niedomagał? Wygląda już na bardzo starego. – Kapitan znów zaczął przyglądać się zwłokom.

– Skądże znowu. Nie opuściło go to szczęście i zdrowy był jak ryba. Ludzie się już zastanawiali, czy biskupowi nie donieść, bo nikt przecież tak długo żyć nie powinien...

– A kto po nim będzie dziedziczył? – przerwał Menton nieco zbyt ostro.

– Lord Carblet, stryjeczny wnuk wicehrabiego.

Kapitan uśmiechnął się pod nosem, bo jak zwykle zagmatwana historia konszachców z diabłem zmierzała powoli w kierunku zupełnie zwyczajnej ludzkiej chciwości. A przynajmniej zmierzałyby, gdyby nie smuga krwi wiodąca do celi, krzyż wymalowany na osikowych drzwiach i ciało pozbawione twarzy. Czy to nie dziwne, że szczury ogryzły dokładnie lico, a nie tknęły nawet palców trupa? Albo te trzy pary drzwi, jakby więzili za nimi potwora, któremu jednak przynosili do czytania cenne traktaty filozoficzne.

– Jest pan pewien, że Tomasz Fortegen nie żyje? – spytał Menton.

– Sam widziałem ciało! – zakrzyknął nie wiedzieć czemu oburzony kapral. – Wszyscy widzieli, biskup mszę żałobną przyjechał odprawiać!

Kapitan nie odpowiedział. Czegoś brakowało w tej opowieści, szczegółu, który pewnie znali tylko domownicy, i trudno było uwierzyć, że dziwnym zrzędzeniem losu wszyscy nie żyli. Chciwy krewny mógł przecież zabić tylko długowiecznego dziadka, i to znacznie ciszej. Ludzie uwierzyliby przecież, że Wiktor Fortegen nie obudził się z przyczyn naturalnych. Dlaczego zatem ktoś kazał wyrznąć całą służbę?

– Interesują pana bajania starych bab? – spytał nagle kapral.

Menton nie był pewien, co odpowiedzieć, więc tylko skinął głową.

– Słyszałem kiedyś od jednej wiedźmy, że była w majątku Fortegenów i że małżonka Tomasza w ciążę zaszła. Nigdy jednak nie istniał żaden czepek, a staremu wicehrabiemu darzyło się, bo tego potomka obiecał szatanowi. Wiedzącą zaś wezwano do spędzenia płodu.

Kapitan skinął głową z powagą, po czym odwrócił się. „Czy doprawdy żadna historia rodzinna w tym księstwie nie mogła rozegrać się bez szatana?!”. Tak trudno uwierzyć, że wicehrabia miał szczęście, jego synowa – pewnie zbyt młoda i słabego zdrowia – nie mogła donosić płodu, a syn zginął głupio, tak po prostu?

– Wiedźmie się nie udało – powiedział jeszcze kapral za jego plecami.

Menton siedział przy stole w wynajętej izbie w gospodzie. Uwielbiał tajemnice, kiedy się pojawiały, ale nienawidził ich, gdy po kilku dniach stawały się jego obsesją.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, nie przerwał lektury ani nie odłożył księgi. Dotychczas intruzem zawsze okazywała się gospodyni albo któryś z jej parobków. Pukanie powtórzyło się, lecz za

drugim razem brzmiało ciszej. Większość osób wali w drzwi mocniej, przekonana, że człowiek w pokoju ich nie usłyszał, a nie tylko nie miał ochoty odpowiadać.

– Proszę – powiedział kapitan.

Po chwili wahania do środka wszedł młody żołnierz, któremu ledwie syknął się pierwszy zarost.

– Panie kapitanie... – zaczął i przerwał, bo nagle przypomniał sobie o salucie.

Zawahał się jednak, a jego dłoń zawisła jak wążka w połowie drogi do czapki. Spojrzał na oficera z mieszkanką lęku i zawstydenia. Młodziak nie był pewien, czy powinien zaszalutować, skoro wyższy rangą żołnierz miał na sobie cywilny strój, a do tego moczył nogi w miednicy.

– Masz dla mnie jakieś wieści? – ponaglił zniecierpliwiony kapitan.

– Chłopi znaleźli ciało, dzień drogi od posiadłości Fortegenów. Ubrany na czarno mężczyzna, rosły jak najemnik i obwieszony srebrem jak kupiec – szeregowiec wyrzucił z siebie wszystkie te informacje na jednym oddechu.

„Zdaje się, że mówi się: Obwieszony złotem jak kupiec” – pomyślał Menton.

– Dzień drogi? – powtórzył głośno. – Skąd pewność, że to był ktoś od Fortegenów?

– Nie powiedziałem... to znaczy... to na pewno nie był nikt ze służby wicehrabiego. – Szeregowiec przestąpił z nogi na nogę i rozejrzał się, jakby chciał powiedzieć, że jest tylko posłańcem, a pytania powinny być kierowane do kogoś innego.

– Ogarnijcie się, żołnierzu! – Kapitan łatwo tracił cierpliwość. – Przysłali cię po zmierzchu, zamiast poczekać z tym do jutra. Musiał być jakiś powód!

– Tego mężczyznę zabił wampir.

Menton nie odpowiedział. Wiedział doskonale, co łączyło osikowe drzwi, krzyż wymalowany krwią i buteleczki z wodą – najpewniej święconą. Słyszał pokątne rozmowy szeregowców. Wszyscy spodziewali się pierwszej ofiary i oto była, dokładnie taka, jakiej oczekiwali. Kapitan zaczął podejrzewać, że nie docenił przeciwnika.

– Każ osiodłać mojego konia – rozkazał, głównie po to, by pozbyć się młodzika z izby.

Wyciągnął stopy z miednicy. Poparzenia, choć zagoiły się dawno temu, przyciągały uwagę przypadkowych świadków. Głównie dlatego, że każdy wiedział, kto i w jakich okolicznościach przypała ludziom stopy.

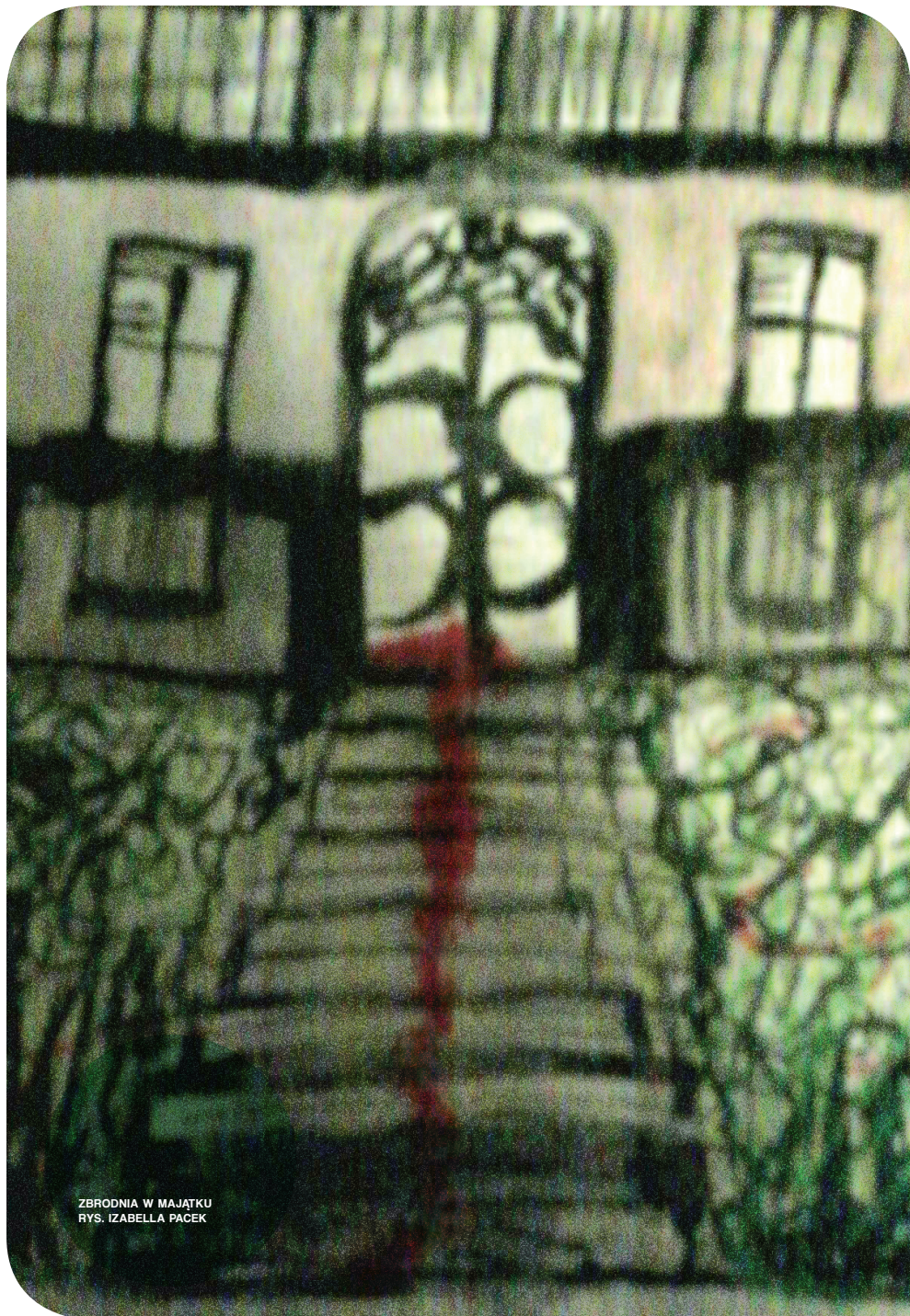
Menton nie zaklął ani nawet nie zdziwił się, gdy miejscowy wójt powiedział mu, że ciało jest w kaplicy. Nie zostawiliby go przecież w lesie na pożarcie wilkom, a żaden żołnierz – o to kapitan mógł się założyć – nie odważyłby się pełnić przy nim nocnej warty.

Nie zaklął też na widok trupa z odrąbaną głową, ustami wypełnionymi czosnkiem i przebitym sercem. Dopiero informacja o tym, że niepozorny ksiądz czuwający przy trumnie nieszczęśnika tak naprawdę jest egzorcystą, wywołała w umyśle kapitana lawinę najgorszych obelg.

Chcąc nie chcąc, Menton podszedł do ciała i spróbował zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Wiedział, że nadmierne zainteresowanie lub dotknięcie zwłok ociera się w chorych umysłach egzorcystów o praktyki kultu szatana.

Trup był wielki, nawet z odciętą głową przewyższałby kapitana, oczywiście gdyby mógł wstać. Szeroki w barach i rosły mężczyzna nie wyglądał na kogoś, z kogo wyszano całą krew. Człowiek, który odrąbał mu głowę, zrobił to jednak poniżej śladu wampirzych kłów, a Menton podejrzewał nawet, że tę dbałość o szczegóły zachowano specjalnie dla niego.

– Nie przeżegnał się pan, wchodząc do domu bozego – powiedział egzorcysta.



ZBRODNIA W MAJĄTKU
RYS. IZABELLA PACEK

– To nie jest karane prawem – odparł kapitan, w duchu karcąc się za ten niewyparzony język.
– Zależy czyje prawo ma pan na myśli. Nazywam się ojciec Zachariasz.
– Kapitan Menton.
– Wiem, kim pan jest, i wiem, o co został pan oskarżony.
– Zatem wie ojciec również, że dowiodłem swojej niewinności – rzekł cicho żołnierz.
– Niewinnych, kapitanie, nie prosi się o dowody – powiedział ksiądz, obchodząc trumnę. – Nie wiem natomiast, czemu ksiądz przysłał pana do majątku Fortegenów.
– Może nie chciał usłyszeć, że sprawcą jest wampir? – Uwaga mogła zabrzmieć jak kpina, lecz Menton był śmiertelnie poważny.

– Zapewne nie mamy do czynienia z wampirem, a jedynie z kimś, kto chce, byśmy go nie docenili – niespodziewanie oznajmił egzorzysta.

Kapitan nie uśmiechnął się, nie skinął głową ani nie okazał zdziwienia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile może wiedzieć ksiądz, lecz zupełnie jak żebrak pod kościołem nie miał zbyt wielkiego wpływu na to, czy coś otrzyma.

– Ojciec zapewne słyszał, kogo trzymano w piwnicy Fortegenów? – spytał z pewną dozą nieśmiałości.

– Zna pan tę okolicę? – Ksiądz nie czekał na odpowiedź. – Prowincje położone najbliżej zachodniej granicy, ciemne i zabobonne, gdzie ludzie na równi korzą się przed złym, co przed Bogiem?

Menton zaprzeczył, mimo że wychował się w takim miejscu i nie wątpił, że egzorzysta doskonale o tym wie.

– Nie zgłoszono nam ani podejrzanych konszachtów wicehrabiego, ani tego monstrum – oświadczył ojciec Zachariasz pozornie obojętnym głosem.

– Czym jest „to monstrum”? – spytał ostrożnie oficer, starając się panować ze wszystkich sił nad wrodzoną niecierpliwością.

– Nic tu po panu, kapitanie – uciął ksiądz. – Ten demon nie podlega ludzkiemu prawu.

Menton nie miał odwagi się sprzeciwić. Przyklęknął przed krzyżem, przeżegnał się powoli i wyszedł z kaplicy.

Musiał przyznać, że ktokolwiek wydostał się z lochów Fortegenów, nie był sprawcą rzezi, jaka dokonana się na terenie posiadłości. Wszystkich zamordowano białą bronią, możliwie szybko i cicho, a sprawców musiało być wielu.

Zleceniodawca najpewniej nie wiedział o potworze ukrytym w piwnicy albo wiedział, ale – podobnie jak Menton – nie wierzył, że to ktoś więcej niż człowiek.

Kapitan postanowił, że wróci do gospody „Pod skrzydłami” niedaleko majątku Fortegenów i zapomni o człowieku uwolnionym z piwnicy przez swoich niedoszłych morderców.

Ponieważ jednak dotarcie do wsi o urokliwej nazwie Zabłocianka zajęło mu całą noc, a wizyta w kaplicy i lesie, gdzie znaleziono trupa, pochłonęła większą część dnia, Menton nie miał ochoty na kolejny wieczór w siodle.

W okolicy nie było gospody, więc musiał być wdzięczny losowi, gdy wójt okazał się karierowiczem, który zaoferował pokój ksiąźcemu „oficerowi”. Zgodnie z regułami zachodniej gościnności kapitan został uraczony również sutą kolacją i solidną porcją nielegalnie pędzonego bimbrowa. Po kilku kieliszkach miał nawet ochotę poradzić gospodarzowi, by w przyszłości

częstował przyjezdnych żołnierzy oficjalnie kupionym alkoholem. Wątpił jednak, by ta uwaga została uznana za przyjacielską, a zdolność panowania nad językiem pozwoliła mu dojść do aktualnej rangi. Menton miał chwilami nie tyle wrażenie, ile absolutną pewność, że w straży wyżej ceniono go za mocną głowę niż za niezwykłą bystrość.

Problem w tym, że jak każdy dar, i ten miał swoją mroczną stronę – działał tylko do momentu zaśnięcia. Kapitan pożegnał się z bełkoczącym gospodarzem, poszedł pewnym krokiem do swojego pokoju, rozwiesił starannie mundur na krzesło i ukrył kilka cennych drobiazgów, tak na wszelki wypadek. Nim zamknął oczy, był gotów przysiąc, że wcale nie wypił dużo. Następnego dnia jednak obudziła go suchość w ustach i najgorszy ból głowy, jaki przypominał sobie na przestrzeni ostatniego roku. Ponieważ nie był u siebie, nie pozwolił sobie na zapadnięcie w drzemkę, która przyniosłaby błogi stan nieświadomości. Wstał i otworzył okno w nadziei, że chłód pierwszego miesiąca wiosny przyniesie odrobinę ulgi.

Dopiero po chwili zorientował się, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze oprócz niego, i najpierw rzucił okiem na obwiązane bandażami stopy, a dopiero później na miecz pozostawiony przy łóżku. Wiedział, że kolejność powinna być odwrotna, ale nie potrafił zachować się inaczej.

Intruz okazał się być księdzem, dosyć starym i z całą pewnością nieznanym.

– Niech będzie pochwalony – wymamrotał ojciec przy drzwiach.

– Z całym szacunkiem, co ksiądz tu robi? – Ból głowy sprawił, że kapitanowi udało się mówić dosyć cicho i spokojnie.

– Dopiero co przyszedłem. – Staruszek zarumienił się. – Właśnie miałem pana budzić. Ojciec Zachariasz wyszedł wczoraj, krótko po rozmowie z panem kapitanem, i nie wrócił do tej pory.

– Powiedział, dokąd się wybiera?

– Tak. – Ksiądz zamilkł, jakby nie zamierzał już nic więcej dodać. – Poszedł zabić demona.

Menton zamknął oczy. Po pierwsze, pulsujący ból u podstawy czaszki nie pozwalał mu się na niczym skupić, po drugie, chciał stłumić przekleństwa, które cisnęły się na usta.

– Niech ojciec zbierze mężczyzn, którzy znają okolicę i są gotowi wyruszyć na poszukiwania – rozkazał. Duchowny chciał chyba coś jeszcze powiedzieć, lecz mina kapitana najpewniej go zniechęciła i wyszedł bez słowa.

Menton ubrał się tak szybko, jak to tylko było możliwe w jego stanie, i zbiegł na dół. Poprosił teściową wójta o wodę, po czym walcząc z mdłościami, spróbował w siebie wmusić cały dzban. Grzecznie odmówił śniadania i może nieco zbyt oschle podziękował za gościnę. Wyszedł z domu, nie czekając, aż gospodarz się obudzi.

Kapitan z trudem odnalazł na placu parobka, bo wójtowa rodzina nie miała służby ani zbyt wielu osób do pomocy przy gospodarstwie. Chłopak przyprowadził mu konia, gapiąc się bezczelnie raz na mundur, a raz na pobladłą twarz oficera. Gdy Menton wcisnął mu do ręki jakiegoś miedziaka, oczy chłopca zaokrągliły się jak spodki i nim kapitan odjechał, rozgorączkowany dzieciak biegł już pochwalić się dorosłym.

Zdaje się, że Menton wcześniej nie zwracał uwagi na to, jak uboga była otaczająca go okolica. Uświadomił sobie to w pełni dopiero, gdy po chwili dogonił starego księdza maszerującego na piechotę w kierunku najbliższych zabudowań.

– Wiadomo, gdzie dokładnie poszedł ojciec Zachariasz? – spytał sucho.

– Do lasu – odparł duchowny. – Chłopi go zaprowadzili w miejsce, gdzie znaleziono tego nieszczęśnika, ale kazał im odejść.

Kapitan wyobraził sobie kolejne kilka godzin krążenia po lesie z bólem głowy rozsadzającym czaszkę i pomyślał, że jeśli demon nie zabił jeszcze egzorcysty, to on mu w tym osobiście pomoże.

– Powiedz, ojczec, chłopom, żeby szli przez las w rzedzie, tak aby każdy widział następnego. Ja już zacznę szukać.

Staruszek popatrzył na niego, jakby nic nie rozumiał, a potem niespodziewanie pochylił głowę i ściągnął z szyi krzyż zawieszony na rzemieniu.

– Weź to, synu – powiedział cicho. – Ja wiem, że ci w imię boże siła złego uczynili, lecz Pan i tak czuwa nad tobą. Obroni cię przed tym monstrem.

Menton zastanawiał się, jaką miał minę, nim przywołał kamienną maskę na twarz. No tak, zachodnie prowincje – jedyne miejsce, gdzie oficerów częstuje się nielegalnym bimbrem, a starzy księża współczują ofiarom egzorcystów.

– To monstrem jest takim samym demonem jak ja – rzekł.

Blade oczy duchownego otworzyły się szerzej i kapitan już wiedział, jak ksiądz zrozumiał to zdanie.

No tak, zachodnie prowincje, jedyne miejsce, gdzie dzieci obiecuje się diabłu, demony więzi w piwnicach, a każdego odmieńca stawia przed sądem bożym.

Menton odjechał bez słowa. Gdzieś na granicy świadomości czaiły się setki wątpliwości. Nie powinien pokazywać, że jest w stanie poruszać się po obcym lesie bez przewodnika, bo to przecież niemożliwe. Nie powinien był odnaleźć egzorcysty, skoro takie cuda zdarzały się tylko za sprawą Boga albo sił nieczystych. Kapitan nie mógł też jednak odmówić poszukiwań i zostać w łóżku. Tego typu incydenty zgłaszano władzy, nie tylko kościelnej.

Menton podjechał do miejsca, w którym znaleziono trupa, i zsiadł z konia. Pamiętał je na podstawie setek drobnych szczegółów, których inni ludzie zwykle nie rejestrują. Złapał wierzchowca za uzdę i zaczął zataczać coraz szersze kręgi w poszukiwaniu tropu.

Egzorcysta musiał być ichnim odpowiednikiem żołnierza. Wnioskując na podstawie śladów bardzo dobrze radził sobie w lesie w przeciwieństwie do człowieka, którego śledził.

Z całą pewnością był to bowiem człowiek, i to nieszczęśliwie zaradny. Nie tylko zostawiał setki tropów, ale też gubił się w lesie i realizował różne dziwne pomysły, jak budowa dziecięcego szałasu z gałęzi. Kapitan mógłby przysiąc, że wcale nie trzeba go ścigać, bo pozostawiony sam sobie nie przeżyje tygodnia w tych warunkach. Właściwie to już powinien być na skraj wycieńczenia.

Menton był tego absolutnie pewien, dopóki nie odnalazł ciała ojca Zachariasza. Ksiądz leżał z mieczem w ręku nieopodal porzuconego łuku. Skórę miał nienaturalnie siną nawet jak na trupa, oczy okropnie wybaluszone, usta wygięte w mocno przerysowanym grymasie przerażenia.

Ponieważ egzorcysta nie nosił sutanny, kapitan rozchylił koszulę na jego piersi i zaczął szukać dalszych obrażeń. Ojciec miał na piersi wypalony ogromny czarny krzyż. Mimo to na skórze nie znać było oparzeń, jakby nie zrobiono tego ogniem.

„Coś takiego mógłby uczynić tylko demon” – pomyślał Menton z przekorą.

Wtedy dostrzegł ruch kątem oka. Obrócił się szybko, lecz nikogo tam nie było. Jakaś gałąź pękła z suchym trzaskiem tuż za jego plecami, znów się odwrócił i trafił na pustkę. Dobył miecza i spostrzegł, że liście po jego lewej stronie drżą, jakby dopiero co trafił je ktoś nieostrożny. Już miał skierować się w tę stronę, gdy po prawej ptak zerwał się nagle z wrzaskiem.

Kapitan zaczął się obracać bardzo powoli wokół własnej osi. Czuł, że pocą mu się ręce, a taki był zapewne cel przeciwnika. Menton zatrzymał się więc i zamknął oczy. Nie został przecięz

otoczony, a ktoś próbował go przekonać, że znajduje się w kilku miejscach. Las wokół niego roztopiał się w feerii dźwięków, na tle których każda obca nuta zabrzmiałaby jak huk armatniej kuli. Wystrzał jednak nie nastąpił.

Kapitan otworzył oczy i przyjrzał się jeszcze raz dokładnie otaczającym go drzewom. Nie dostrzegł nikogo ani niczego. Zaciśnął dłoń na rękojeści i sprawdził kilka tropów wokół miejsca, gdzie leżało ciało egzorcysty. Wszystkie jednak okazały się fałszywe. Zupełnie jakby tajemniczy napastnik rozpląnął się w powietrzu albo – co gorsza – nigdy nie istniał.

Menton wracał w okolice majątku Fortegenów i przeklinał nadmiar czasu na rozmyślanie, który podsuwał mu coraz to nowe wątpliwości.

Może popełnił błąd, wyjeżdżając z gospody „Pod skrzydłami”? Wezwano go przecież, aby pojmał zabójcę wicehrabiego, a człowiek, którego ścigał w lesie, był raczej ofiarą niż oprawcą. Jak dotąd zabijał tylko w samoobronie. Z drugiej strony, kto broniąc się, poświęca tyle czasu na upozorowanie ataku złego ducha? I w jaki sposób właściwie to czyni? O ile ofiarę wampira można stworzyć bez specjalnych narzędzi, o tyle ciała pierwszego najemnika i egzorcysty wydawały się być owocem wielu godzin pracy.

Kapitan na chwilę odpędził natrętne myśli, lecz dopadły go znowu za kolejnym zakrętem. Skoro wicehrabia był pewien, że więzi demona, dlaczego nie sprowadził egzorcysty, aby się go pozbyć? Mógł się bać, że ściągnie uwagę Kościoła. Monstra nie przychodzą przecież na świat w bogobojnych rodzinach, a niemowlę ktoś musiał szatanowi obiecać.

Dlaczego jednak arystokrata trzymałby przy życiu takie dziecko? Bał się je zgładzić? W zachodnich prowincjach ludzie przypisują ogromną moc duszom nieochrzczonych...

Czy zleceniodawca morderstwa wiedział o potworze? Chyba tak, skoro jego ludzie zeszli do piwnicy. Najwyraźniej nie lękał się potępieńca i całkiem poważnie traktował jego szanse na odziedziczenie majątku.

Motywy zbrodni mogła być też zemsta, a nie chciwość...

Menton potrząsnął głową, która wciąż go bolała, mimo że wczoraj nie wypił ani kropli alkoholu. Wjechał do wsi i ostrożnie minął grupkę dzieciaków, które z radosnym wrzaskiem biegly przez chwilę za jego koniem.

Coś mu ciągle umykało. Na pewne pytania mógłby odpowiedzieć tylko przez odwołanie się do teorii złego ducha, a tego nigdy nie robił. Tym bardziej że cała ta historia była logicznym ciągiem wydarzeń i tylko on nie mógł poskładać ich w całość, bo w każdym akcie rozgrywającego się przedstawienia widział zaledwie ostatnią scenę.

Kapitan zatrzymał konia przed budynkiem straży. Starał się w myślach ułożyć relację z ostatnich wydarzeń w taki sposób, aby nie zawierała słów „wampir” ani „demon”. Kiedy jednak wszedł do niewielkiego przedsionka przyklejonego do dwóch pustych cel, wiedział już, że nikt nie zamierza słuchać jego opowieści.

Młody żołnierz zasalutował, lecz później nie pochylił głowy, tylko przyglądał się badawczo kapitanowi. Starszy kapral bez pośpiechu odsunął od siebie kufel gęstego piwa i dopiero po chwili podniósł się do salutu. Nie próbował już ukrywać niechęci, jaką żywił do królewskiego oficera.

– Spóźnił się pan, panie kapitanie – oświadczył, wyraźnie napawając się tą chwilą. – Lord Carblet nie żyje. Sprawiedliwość została wymierzona.

Chociaż Menton poczuł, że wszystko się w nim gotuje, zachowywał się, jakby informacja nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Kątem oka dostrzegł rozczarowanie na twarzy młodego żołnierza.

– Jak to się stało? – spytał ze sztucznym spokojem. – Samosąd? Samobójstwo?

– Zmora – odparł tryumfalnie kapral.

– Zmora – powtórzył kapitan. – A skąd pewność, że Lord Carblet był sprawcą morderstwa?

– Jego ludzie wyznali wszystko jak na spowiedzi i księdzu, i nam. – Starszy żołnierz uśmiechnął się od ucha do ucha.

Menton machinalnie skinął głową. Całe jego śledztwo nie miało zatem najmniejszego sensu. Sprawa rozwiązała się praktycznie sama pod nieobecność książecego oficera. Przedstawienie zakończyło się pięknym deus ex machina, któremu towarzyszyły głośnie trąby. Lord Carblet umarł na dusznicę, a skruszeni słudzy wyznali w popłochu wszystkie grzechy...

Tak, zapewne tak by pomyślał kapitan jeszcze trzy dni temu. Teraz jednak zastanawiał się tylko, w jaki sposób zmora przyjechała tu przed nim i gdzie mogła się udać.

– Dziękuję, kapralu – powiedział.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, który po chwili przerodził się w bieg. Dosiadł konia, a potem galopem popędził do początku tej zagadki – do majątku Fortegenów.

Żołnierz pilnujący domu przed szabrownikami zdziwił się na jego widok, lecz nie rzekł ani słowa. Być może spodziewał się, że oficer sam zechce wytłumaczyć swoją obecność. Menton rzucił jednak tylko przez ramię:

– Nie idź za mną! Choćby nie wiem co!

Kapitan wbiegł po schodach i zaczął sprawdzać pokoje jeden po drugim. Wszystkie wydawały się wyzębione i nienaturalnie opustoszałe. Dopiero w bibliotece trafił na pled porzucony na fotelu i książkę na podłodze – „Państwo” Platona.

Menton podniósł ją. Wtedy usłyszał szmer za plecami. Odwrócił się bardzo ostrożnie, lecz nie był przygotowany na to, co zobaczył. Przy drzwiach stał egzorcysta – nie ojciec Zachariasz, tylko ksiądz Bernard, który kierował jego procesem. Zamknął drzwi na klucz, choć kapitan przysięgłby, że nie miały zamka, i podszedł do kominka, gdzie jeszcze chwilę temu nie płonął ogień.

– Znowu się spotykamy, Łukaszu – powiedział łagodnie egzorcysta. – Twój świątły umysł cię tu zaprowadził i nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że ta światłość nie pochodzi od Boga.

W jego dłoni zmaterializował się pogrzebacz.

Łukasz Menton zdawał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z iluzją – może nawet diabelską sztuczką – ale na pewno nie z czymś rzeczywistym. Nie potrafił jednak zapanować nad drżeniem rąk ani nad kroplami potu spływającymi po plecach.

Miał cztery lata, kiedy trafił na tortury i sąd boży tylko dlatego, że różnił się od innych dzieci. Wypowiadał zdania, których nie powinien był rozumieć; czytał książki, choć nikt go tego uczył; pamiętał to, czego nikt wokół niego zapamiętać by nie zdołał.

Może gdyby wtedy sięgnął najpierw po Biblię, a z pamięci cytował święte księgi, wszystko by się potoczyło inaczej. Zostałby okrzyknięty świętym, umieszczony w zakonie, uczyłby dzisiaj całe zastępy młodych egzorcystów...

– Nie obawiaj się, Łukaszu. Ogień pali ciało, lecz oczyszcza duszę – powiedział ojciec Bernard, zbliżając się z rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem.

Menton chciał się cofnąć i nie mógł, jakby jego nogi wrosły w ziemię. Coraz trudniej było mu oddychać. „Skoncentruj się!” – rozkazał sam sobie. Umysł był przecież jego jedyną bronią, nawet jeśli stanowił też największe przekleństwo, jakim naznaczył go los.

Egzorcysta podszedł do niego i dopiero teraz kapitan zrozumiał, że mężczyzna jest wielki – znacznie większy od człowieka. Dlaczego? Ponieważ takim go zapamiętał jako dziecko! To obraz wyciągnięty z jego umysłu, halucynacja.

Menton zamknął oczy i starał się ze wszystkich sił wyrównać oddech.

– Nie przyszedłem cię skrzywdzić – oświadczył głośno żołnierz. – Zgodnie z prawem jesteś prawowitym dziedzicem Fortegenów i moim obowiązkiem jest dopilnowanie, by ten majątek trafił w twoje ręce.

Kapitan odważył się spojrzeć jeszcze raz. Egzorcysta, ogień, nawet zamek w drzwiach zniknęły. Przed nim stał teraz mężczyzna o zielonych oczach i gładkiej twarzy, który wcale nie wyglądał na młodzieńca trzymanego całe życie w lochu.

– To znów nie jesteś ty? – na wpół spytał, na wpół stwierdził Menton.

– Żołnierz, który mnie niechcący uwolnił – odparł dźwięczny głos młodego mężczyzny. – Wydaje mi się, że miał ładną twarz.

– Możesz być, kim chcesz?

– Mogę wiele, ale najbardziej chciałbym umieć ukryć, kim jestem naprawdę. Pan wie, jak to jest.

– Czytasz w moich myślach? – spytał kapitan, starając się zapanować nad ukłuciem niepokoju.

– W pana lękach. Nie wiem, o czym pan teraz myśli.

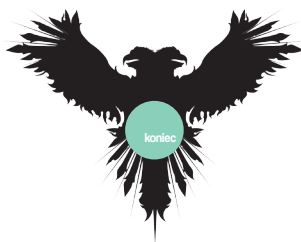
Menton spojrzał na stojącą przed nim postać. Może nie był to człowiek, ale chyba też nie diabeł.

– Myślę, że łatwiej mi będzie znaleźć odważnego sędziego, niż tobie odpowiednią służbę do tego domu.

Istota obserwowała go dłuższą chwilę, nim jej wargi wygięły się w nieporadnym uśmiechu.

– Gdzie moje maniery? Może zechce pan usiąść i napić się dobrego wina? Niestety, muszę pana poprosić o przyniesienie butelki. Ja boję się schodzić do piwnicy.

Menton roześmiał się jak z dobrego żartu, choć miał świadomość, że chłopak mówił zupełnie poważnie. Od urodziwej męskiej twarzy wyraźnie odcinały się zielone oczy dziecka, które z ludzkich emocji zdążyło poznać tylko strach.





PERFECT DAY
RYS. ALEKSANDRA KUBACKA



PERFECT DAY
RYS. ALEKSANDRA KUBACKA

Redakcja i korekta:

*Anna Kańtoch
Krzysztof Wójcikiewicz*

Okladka:

Gabriela Palicka

Ilustracje:

*Aleksandra Kubacka
Katarzyna Kubacka
Izabella Pacek
Gabriela Palicka*

Skład:

Elżbieta Kłos

Neoficjalny Obiekt Literacki

*biuletyn Sekcji Literackiej
LOGRUS
Śląskiego Klubu Fantastyki*

Adres:

*40-956 Katowice
ul. A. Górnika 5
skr. poczt. 502*

*Tel. (wtorek 16.00–19.00) 32 253 98 04
E-mail: skf@skf.org.pl*

Konto:

*PKO BP
02 1020 2313 0000 3202 0114 6588*



wydawnictwo
bezpłatne